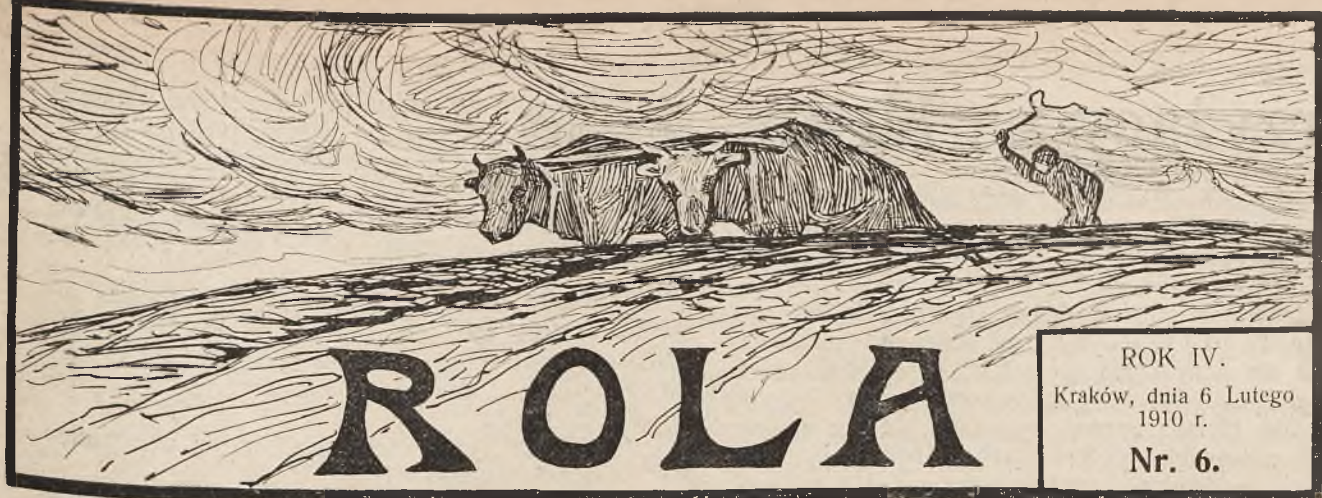


ROK IV.
Kraków, dnia 6 Lutego 1910 r.
Nr. 6.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli". Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Zapusty.

Świat nie wszędzie jednaki i ludzie nie wszyscy jednacy. Gdy jednym wesołość a zabawa na myśli, drudzy w ukryciu łzy gorzkie ronią. A i ci, co o wesołości myślą, nie zawsze to czynią. Więcej u każdego w życiu trosk i niepowodzeń, więcej żałości i smutku, aniżeli wesela i radości. A jak w najpochmurniejsze dni czasem słonko błyśnie i rozjaśni pola i niwy, tak i smutek człowieka nieraz radość rozerwie i rozpogodzi lica.

A kiedyż dla człowieka pora sposobniejsza do wesołości, jak nie w zapusty? W komórce jeszcze chleba niebrak, praca ukończona i swobodna chwila do weselenia się.

To też w zapusty biedny czy bogaty, stary czy młody, pragnie zabawić się, pragnie wylać z siebie całą wesołość, na jaką go stać. Niejeden gospodarz wyciąga sanie, zaprzęga koniki i po gładkiej drodze mknie do sąsiedniej wioski do krewnych i znajomych, aby tam na miłej pogawędce i statecznej zabawie spędzić dzień zapustny.

Inni...! Zwołał arendarz do izby szynkownej muzykantów, wytoczył baryłkę wody z wódką i zwabia do karczmy płochą młodzież, a nawet starszych i poważniejszych gospodarzy. Z początku zabawa toczy się wesoło, ale później, gdy wódka zakręci głowy, gdy muzyka podburzy zmysły, zabawa przemienia się w orgie, a często i bójkę. Niejeden wyszedł z domu zdrów i wesół, a wraca wyniszczony, nierzadko z pokrwawioną głową. O ile zabawa przyzwoita i spokojna jest każdemu miłą, o tyle zabawy awanturnicze muszą budzić wstręt i odrazę.

Gdy przyjdzie środa popielcowa, spieszą wszyscy — i smutni i rozbawieni — do kościoła, aby schylić gł. vy przed Panem i usłyszeć przypomnienie, że każdy człowiek jest marnym prochem i nicością.

Gdy mowa o zapustach, myśl mimowoli biegnie w przeszłość i przed oczyma duszy stają bohaterzy z 1831 r., którzy w czas zapustny szli w tan krwawy z Moskalem, okrywając się zwycięzką a wiekopomną sławą. Cześć ich popiołom, cześć ich prochom, z których zrodzi się mściciel, a po latach umartwienia da jasne i błogie Zmartwychwstanie.

ZAPUSTY, JAKICH WIELE.

Rżną skrzypice, huczą basy,
Aż się trzęsą w karczmie ściany...
Pijatyka, skoczne tany:
Polki, tramle, wyrywasy!

Mosiek głaszcze brodę siwą
I nalewa różny trunek:
Znakomity na frasunek
Arak, wódkę, wino, piwo.

Hosa-dana! Na bok bieda! —
To ostatki, to zapusty,
Poniedziałek, wtorek tłusty!...
Niema groszy — płaci kreda!

Muzykanci rżną od ucha,
Aż się pocą od roboty;
Dym z cygarów, para, poty,
Jakby z piekła, z karczmy bucha.

Naraz rrrum! brum!... Co się dzieje?
Wre, kłębi się żywe morze,
Połyskują w rękach noże,
Bijatyka — krew się leje...

To o Kaśkę z Tomkiem Florek
Aże miło się pobili,
Nożami się porzeźbili,
Krwią oblali tłusty wtorek!...

Jantek z Bugaja.

Krzyżacy na Litwie.

IX. RYCERZ POSŁUSZNY.

Jazda Heleny do Polski. — Polska czeka na królowę Jadwigę. — Nieznany rotmistrz. — Spór w gospodzie. — Helena nie pozwala na bitwę.

Dowojna, odprowadzając Helenę do Polski, czuł dobrze, że to był jedyny czas, który mu jeszcze zostawał do pozyskania jej serca; wszystkich zatem używał sposobów, żeby mógł sobie jej przychylność zapewnić. Helena bardzo była rada, że ma na swe usługi zbrojnego rycerza; zabezpieczało ją to od napaści w drodze i pochlebiało miłości własnej. Dowojna nie mógł bez zawstydzenia patrzeć na to, poznawał miejsca, które z orężem przebywał, widział szkody, które własną ręką poczynił, i każdą razą na popasie albo noclegu, kiedy zabrakło gospody lub żywności, musiał z tego powodu srogie Heleny wytrzymywać wyrzuty.

Ten stan niewoli niezmiernie dręczył nieprzyzwyczajonego do więzów miłosnych Litwina. Wiedział prócz tego, że wkrótce ma stanąć przed ojcem swej pani, możnym Polakiem, którego spustoszył włości, popalił dwory, a nadewszystko, któremu gwałtem wydarł jedyne dziecię. Jechał obok pięknej sandomierzanki przygotowany na wszystko.

Wjechali w granice Polski w tej właśnie porze, kiedy co chwila spodziewano się w Krakowie przybycia z Węgier powołanej do berła Jadwigi. Kraj cały z tego powodu był w poruszeniu i dziwny przepychu i wesołości, obok nędzy i spustoszenia, wystawiał obraz. Wsie i miasta, świeżym Litwinów napadem w popiół obrócone, sterczały kominami nagiemi zdaleka, kościoły po większej części opustoszałe.

Tymczasem drogi, napełnione ludem spieszącym do szczęsnej stolicy, która miała nakoniec ujrzeć w swych murach długo oczekiwaną królowę, wesołym gwarem ożywiały podróż. Bogate poczty rycerstwa, roty piesze i jezdne, strojne panie w kolebkach,*) poważni biskupi wśród duchowieństwa, cechy z chorągwiami, kupcy, żydzi, wieśniacy, wszystko to biegło naprzeciwko wnuczki dobrego króla Kazimierza**). Dowojna, przywykły po porosłych kraju swego rozdrożach częściej spotykać dzikie zwierzęta, niż ludzi, nie mógł się wydziwić tak ożywionej krainie.

Helena, skoro na polską ziemię wjechała, zaraz na twarz spuściwszy zasłonę, głęboko się we swoim pojeździe ukryła. Dowojna, naśladując panią, żeby uniknąć jakiego nieprzyjemnego spotkania, spuścił przyłbicę i nie odzywając się do towarzyszki, toczył spokojnie koło jej pojazdu, mając w odwodzie uzbrojonego Tatara.

Powszechnym w tej porze przedmiotem rozmowy były wdzięki i cnoty Jadwigi, oraz wybór księcia, któremu przeznaczoną być miała jej ręka. Szczęśliwy ten człowiek z najpiękniejszą księżniczką, mając dostać obszerne królestwo, musiał ze swej strony znakomite dla kraju przynieść korzyści. Szukano go w najpierwszych panujących domach i zastanawiano się z największą uwagą nad jego przymiotami.

Przysłuchiwał się ciekawie tym rozmowom Dowojna i uważał, że ile tylko razy wspomniano Jadwigę, Helena twarz odwracając, kryła łzy ponie- wolne. Zdziwiło go mocno to dostrzeżenie, nie mógł bowiem pojąć, jakimby się działo sposobem, żeby ta sławna z cnót i dobroci księżniczka, której imię wzbudza radość w każdym Polaku, na jednej Helenie, Polce tak gorliwej, bolesne czyniła wrażenie, tem bardziej, że wiedział, iż jej wcale znaną nie była.

— Musi to być wielkie dziwo, ta wasza Jadwiga — rzekł raz do Heleny, jadąc koło pojazdu. — Każdy o niej rozprawia, każdy ją pod niebiosa wynosi. Uszy już bolą, wszędzie jej tylko słyszeć pochwały.

— Gorzej, kiedy serce boli na jej wspomnienie — odpowiedziała Helena.

— Czy wam, córko Habdanka, krzywda jaka od niej przyszła, że się na nią żalicie? Przecież zasługuję na ufność, powiedzcie mi proszę, co wam dolega?

— Twoja troskliwość, Dowojna, nie zgoi mej rany — odpowiedziała smutno dziewica. — Szczęście, które mi ona wydarła, już choćby chciała, nie jest w stanie powrócić. Niebezpieczno jest o niej rozmawiać, a ty więcej wiedzieć nie żądaj!

Przyrzekł Dowojna stosować się do woli swej pani i przestał ją badać, ale nie mógł nie myśleć o tej osobliwej księżniczce, dla której tyle cierpi jego ulubiona. Największą zaś wzniecał w nim ciekawość rodzaj niesprawiedliwości, którą dotkniętą została Helena; lecz gdy stracił nadzieję wybadania jej myśli, do innych udał się sposobów i w drodze wszędzie, gdzie się tylko podała zręczność, z wrodzoną sobie otwartością starał się dowiadywać, czy są jakie winy, któreby mogły być zarzucone Jadwidze? Każdy mu w oczy patrzył ze zgorszeniem i odchodził jak od człowieka, który szuka sam nie wie czego.

Minąwszy mury Lublina, Dowojna na swoim mierzynie*) równym zawsze obok pojazdu postępując krokiem, spostrzegł, iż miał często przy sobie dziarskiego jeźdźca, który się ustawicznie mimo niego przesuwał. Był to młodzieniec przyjemnego oblicza, w czerwonym kubraku, stalową kolczugą**) okryty, z zawieszoną na bok z hełmu misiorką***) i z buzdyganem****) w ręku. Nie znał wcale tego znaku rycerz litewski i byłby go pewnie nie zauważył, bo jeździec był podobny do wielu innych, w tęż stronę ciągnących, lecz zwięzły pod nim karosz zwrócił jego uwagę i zaczął do podjazdu zazierać i mierzyć okiem Litwina, w niesmak mu poszła ta poufałość polska i byłby go pewnie po swojemu odegnał, gdyby się nie lękał niespokojnością nabawić Heleny.

Jechali tedy z pół mili, poglądając zyzem na siebie; Polak się uśmiechał, przenosząc naprzemian wzrok z pojazdu na przyłbicę Litwina i z niej na jego małego konika. Gdy się do Bełżyc zbliżyli na nocleg, jeździec posunął naprzód, znikł między domami i więcej nie dał się już widzieć. Bardzo był rad Dowojna z pozbycia się natręta, Helena także cieszyła się, że go już więcej nie ma przed sobą i szczęśliwie w najpierwszej wysiadła gospodzie.

*) Tak dawniej nazywano karety.
**) Wielkiego.

*) Tak nazywano konia małej miary.
**) Kolczuga, czyli kolcza, zbroja tak nazwana od małych kółek żelaznych, jedno w drugie zaczepionych, z których się składa.
***) Misiorka, hełm płaski na kształt jarmołki, z którego spadał czepiec żelazny.
****) Buzdygan, podobny do buławy hetmańskiej, był znakiem dowódcy oddziału.

Tam zaraz ponowiła przestrogę Dowojnie, żeby, ile być może wystrzegał się zbrojnych ludzi i uwiadomiła go oraz, że jeździec, co ich miał na oku, musi w tej stronie rozłożone mieć swe siły, gdyż jego buzdygan oznaczał rotmistrza.

Nazajutrz ledwo odjechali ćwierć może mili, znalazł się znów na swoim karoszu czerwony jeździec i wdzięcznie buzdyganem powitawszy Dowojnę, zaczął zwyczajne swoje sztuki koło pojazdu.

— Dzień dobry waszmości — rzekł do niego uprzejmie. — Prześliczny mamy dziś ranek. Pogoda, dzięki Bogu, ciągle służy, królowa jejmość w dobrym humorze wstąpi na polską ziemię i nasze się też poczty lepiej wydadzą.

— Bracie wojaku — odpowiedział Litwin — królowa może być w dobrym humorze, czas może być piękny i ty pięknie siedzisz na twoim rumaku, to tylko nie dobrze, że się nas zawsze trzymasz. Tam na przodzie możebyś znalazł więcej ciekawych, którzyby cię radzi widzieli.

— Nie wątpię o tem — odpowiedział rotmistrz — tylko że nic nie mam tak pilnego, żebym sobie nie jechał podług mego upodobania. Waszmość zapewne jesteś koniuszym tej pani i do Krakowa, jak sądzę, jej służysz?

— Być może — odpowiedział Dowojna.

— Z którychże stron Pan Bóg prowadzi?

— Jedziemy z za siebie, a dążymy przed siebie. A waszmość mógłbyś wiedzieć, że nie lubię, gdy mi kto w drogę włazi.

— Cha, cha, mój panie koniuszy na chmycie — zawołał, śmiejąc się jeździec — albo też nie wiesz, że droga wolna każdemu? Do zobaczenia!

I buzdygan skłoniwszy, dał koniowi ostrogę i naprzód poskoczył. Dowojna chciał za nim posięgnąć, ale wspomniawszy na przestrogi Heleny, żeby nie szukał zaczepki, pozostał na miejscu.

Ledwo spokojnie kilka staj ujechał, wysunął się z lasu jeździec czerwony, lecz już nie sam, ale z towarzyszem, także kolczą zbrojną okrytym. Postępowali truchtem w pewnej odległości od pojazdu i pozierając z uśmiechem na jego budowę i Dowojny rynsztunek, zdawali się zabawne czynić uwagi. Obrażony Litwin nie wiedział, jak dłużej potrafi się wstrzymać.

— Jeżeli waszmość potrzebujesz gospody — rzekł, obracając się do Dowojny — pozwól, żebym mu służył. Ta dzicz przeklęta litewska popsuła nam ze szczętem miasta i wioski, ale niechno sobie króla obierzemy, oddamy im dobrze za swoje. Jest tu kilka domów zajezdnych, w których można wygodnie odpocząć. Jeśli wola, każę naprzód zrobić porządek?

— Obejdzie się bez waszej posługi — odpowiedział Litwin.

— Ale patrząc na zmordowane konie waszmości — odezwał się drugi — dalibóg nie można sądzić, żebyście dalej zaciągnęli na popas, a kto wie, czy nie wypadnie tu i zanocować, bo tam za Wisłą kilka mil ciągiem żadnej niema gospody.

Dowojna, zęby ściąwszy, nic nie odpowiadał. Lecz gdy do miasteczka wjechał, spostrzegł, że w rzeczy samej wszystkie domy napełnione były żołnierstwem i podróżnymi. Trzeba było wstąpić do najpierwszej gospody. Dwaj jeźdźcy także do niej wjechali i zsiadłszy z koni, złączyli się z towarzyszami swymi, którzy w izbie gościnnej okropną czynili wrzawę. Helena, strwożona tą zgrają, chciała dalej jechać, ale jak na nieszczęście konie tak były zmęczone, iż bez dobrego popasu niepodobna było ani z miejsca ruszyć, musiała tedy, zostawszy w pojeździe, kazać zadać obroki.

Dowojna, przyrzekłszy ostrożność, wszedł śmiało do izby, siadł na końcu stołu i kiedy gwar ludu zbrojnego napełniał gospodę, on, złożywszy przyłbicę i oręż na stole, kazał Tatarowi podać sobie podróżną żywność i tak się dobrze posilał, jak gdyby był wśród swojej Litwy.

Tymczasem rycerze polscy zaczęli się spierać, kto ma być królowej mężem.

Przez cały ten czas Dowojna spokojnie popas swój czyniąc, najmniejszej nie dawał baczności na przymówki rotmistrza i hałasy jego towarzyszów. Czasem tylko, gdy się który około niego otarł, jak na przestrogę rzucił okiem na kord swój, leżący na stole. Zdrowie szło koleją, każdy wychylał miód za Ziemowita mazowieckiego, rozprawiano o wzmagającej się sile jego stronników i hojnych darach w pieniądzach i ziemi, które im przyrzekał.

— Dla mnie — rzekł jeden — najlepszą byłoby zapłatą, gdyby królem zostawszy, wyciągnął na Litwę, dla zemszczenia się na tych poganach, co nasze ziemie i włości w popiół obrócili. Hej! nie tak mi żal spalonego domu i zabranej hudoby, jak mojej Hanki kochanej, którą mi unieśli. Właśnie na Świątki miałem jej ślubować. Biedna dziewczyna, Bóg wie, co się z nią dziś dzieje!

— Alboż to ty jeden płaczesz twej narzeczonej — odezwał się inny — dziękuj Bogu, że ci ją nie żoną porwali.

— Nie rozpaczajmy, bracie! Ziemowit nas pomści!

Rozmowa ta nagle zmieniła wesołość rotmistrza w smutne dumanie. Widać było, że wspomnienie Litwinów bolesną w nim ranę budziło. Długo siedział na ławie milczący, wreszcie, jak gdyby dolegliwe myśli chciał wesołością umorzyć, porwał się nagle z ławy i zbliżywszy się do Dowojny, rzekł:

— Bracie! wam się nie podobało, żem do pojazdu pani waszej zazierał, a nam się nie podobało, żeś nie pił zdrowia Ziemowita. Przysiągłbym, że go nie lubisz. Cóż robić, musisz tedy wypić zdrowie Jadwigi. Do was więc. Hej! bracia szlachta, zdrowie królowej!

— I miłość jej dla Ziemowita! — powtórzyli inni. Rotmistrz, wychyliwszy kufel, nalał go i oddawał Dowojnie, lecz ten ciągle schaba swego zajadając, nie tylko nie chciał go przyjąć, ale nawet oka na rotmistrza nie podniósł.

— Bracie! bierzże, kiedy ci dają — rzekł Stogniew.

— Nie piję zdrowia Jadwigi — odpowiedział Dowojna.

— Zuchwały! pij, albo się bij! — krzyknął oburzony rotmistrz.

— Bić się, zgoda, ale pić nie myślę.

— Nieobyczajny niedźwiedziu, pij lub nie pij, to nam jedno, lecz wstań, kiedy my pijemy — podnosząc oręż, zawołał inny. — Nie słyszysz to, że wznosimy zdrowie królowej?

— Wara! nie wywołuj wilka z lasu — odpowiedział donośnie Litwin. — Możesz pić zdrowie, jak ci się podoba, lecz wiedz, że ja nie jem stojący. A jeśli masz do mnie sprawę, czekaj, aż ja obiad skończę.

— To jest cudzoziemiec jakiś! — mówili inni. — Przysiągłbym, że to jest Opolczyk*) co nas

*) Książę Opola, na Śląsku, chciał się też żenić z królową Jadwigą, tak jak Ziemowit mazowiecki.

szpieguje. I ta jego osłoniona pani w swej szopie, kto wie, czy nie jest księciem Opolskim, który się chce przedrzeć do Krakowa. Bracia! nie dajmy z siebie żartować.

— To jest szpieg niechybnie. Dwa stąd popasy ciekawie dopytywał się, czy nie możnaby o co Jadwigę obwinić — rzekł inny.

— Co zaś? on śmiał wątpliwość objawiać, że Jadwiga nie jest najczystszą istotą? — odezwał się rotmistrz. — Czekajcie, zaraz go przekonam, czem jest nasza królowa. Hej! kto jesteś? herb twój powiedz i sprawuj się, albo cię każę bez sądu powiesić — krzyknął do Litwina, rzucając mu rękawicę żelazną pod nogi.

— Lachy! jestem cudzoziemiec — odezwał się, powstając, Dowojna — nie znam waszych herbów, moim jest ten miecz, a imię moje Dowojna.

Jak iskra proch, tak słowo Dowojna nagle gniew zapaliło Polaków. Oczy ich dziką zabłyszczały radością i przyskoczywszy hurmem do niego:

— Ha! tyżeś to Dowojna! Srogi Litwin, co w perzynę obrócił nasze siedliska. I teraz jeszcze śmiesz chodzić po tych zwaliskach, żebyś pasł oczy twem dziełem bezecnem? Wnet odbierzesz zapłatę! — wołali, podniósłszy oręże.

— Czekajcie — rzekł rotmistrz. — Nas wielu, on jeden. Jestżeś ty w rzeczy samej ten okrutny Litwin, który krwi naszej przelał najwięcej? który nam wydarł córki i żony?

— Jestem nim — odpowiedział śmiało Dowojna.

— Złóż oręż. Jesteś mym jeńcem.

— Bynajmniej. Jeńcem nigdy nie był Dowojna; jeńców nikt nie bierze w pokoju. Jeśli chcesz, żebym oręż złożył, wprzód mnie zwyciężyć musisz.

— Dobrze — rzekł Stogniew. — Lubo mógłbym użyć przemocy na rozbrojenie ciebie, lubo mało zasługujesz, abym się z tobą mierzył, chcę własną ręką wziąć zemstę za wszystko złe, któreś nam wyrządził. Spraw się więc.

— Słowo — rzekł Litwin. — Mam z sobą zacną Polkę, moją niegdyś brankę, której bezpieczeństwo więcej mnie obchodzi, niż życie. Odwożę ją ojcu. Być może, że legnę, daj mi twe słowo szlacheckie, że ją z winnemi względami odeślesz ojcu.

— Żądanie twoje zasługuje na powolność. Masz moje słowo, nic się jej złego nie stanie.

Wtenczas Litwin, wystąpiwszy naprzód, kazał Tatarowi podnieść rękawicę, włożył szyszak na głowę i złożył się orężem z Polakiem. Stogniew z całym gniewu zapędem natarł na Dowojnę, lecz wkrótce poznał, z kim ma do czynienia, a chociaż Litwin, ciężką zbroją okryty, mniej miał korzyści od Polaka, lekką odzianego kolczugą, zręcznie jednak umiał razy jego odpierać. Towarzysze rotmistrza ustawicznie dodawali Stogniewowi serca, chociaż męstwo jego nie potrzebowało podniety, Tatar także Litwina, trzymając tylną straż pana, niemniej słowami starał się zagrzewać.

Gospodarz domu, widząc, jak rzeczy zaszły daleko i że może przyjść do krwi rozlewu, strwożony pobiegł do Heleny, będącej w pojeździe, dając znać o niebezpieczeństwie, w którem się jej rycerz znajduje. Przelękła dziewica wnet weszła do izby i zbliżywszy się do nich, rzekła:

— Cóż to? taki to dla podróżnej niewiasty szacunek? ta to jest polska wspaniałomyślność chcieć zamordować cudzoziemca, który się w ręce oddaje? Dowojna! ty do dzikich ludzi należysz, zawstydź srogość światłego narodu, złóż twą broń.

Natychmiast Dowojna rzucił oręż pod nogi przeciwnika i stanął przed nim, gotów śmierć przyjąć. Czyn ten odważny wydał skutek najpożądańszy. Zdumiony rotmistrz zrazu nie wiedział, co mu czynić zostaje, wreszcie spuścił oręż i patrzył na Helenę z podziwieniem.

— Pani! racz nam darować, jeśliśmy jej uchybili. Ale kogóż mam szczęście widzieć przed sobą? — zapytał po chwili.

— Helenę Habdank — odpowiedziała dziewica.

— Córkę szanownego starosty?

— Tak jest — powtórzyła Helena.

— Składam oręż i najpokorniej przepraszam za wszelki niespokój, na który ją mogłem narazić.

Ucieszona Helena, iż tak szczęśliwie wyprowadziła swego rycerza z niebezpieczeństwa, opowiedziała Stogniewowi okoliczności uwiezienia swego na Litwę, jak wiele była obowiązana Dowojnie, że ją osobiście odprowadza do ojca i że wszystkie Polki, w plon wzięte, do ojczyzny wracają. Miłą była rotmistrzowi ta wiadomość, który także w czasie napadu Litwinów poniósł srogą stratę. Tymczasem, żeby mógł u Heleny zapewnić sobie dobre przed starostą świadectwo, wszystkich używał sposobów na jej ujęcie, znał bowiem dobrze wziętość Habdanka i od dawna szukał sposobności, aby pozyskać go dla księcia Ziemowita.

Towarzysze rotmistrza, widząc naczelnika uległość, musieli do niej obejście się swoje stosować i przyjaźniejszym do Dowojny zaczęli odzywać się głosem, ale wyniosły Litwin nie żądał łaski i głośno rotmistrzowi dał słowo, że skoro tylko odprowadzi Helenę na miejsce, niezwłocznie się mu stawi, dlatego rękawicę jego z sobą zabiera *).

Tymczasem Helena, pragnąca jak najprędzej uściskać ojca, w dalszą zabierała się podróż i właśnie do pojazdu miała wsiadać, gdy nagle ujrzała spieszącą do siebie gromadę niewiast. Była to część wracających z niewoli litewskiej Polek, które poznawszy zdaleka pojazd Heleny, chciały jeszcze raz wdzięczność jej ponowić za przyłożenie się do ich oswobodzenia. Jakże wielkie być musiały zadziwienie i radość, gdy jedna z nich w rotmistrzu poznała małżonka swojego. Kilka innych także znalazły między towarzyszami jego swych ojców lub krewnych. I piękna Hanka nie została długo bez spotkania narzeczonego. Stogniew, najwyższem szczęściem przejęty, nie mógł dość wdzięczności swojej wyrazić Helenie za powrót kochanej małżonki i raz jeszcze przepraszał za wszystkie nieprzyjemności, których był przyczyną, a podając Dowojnie rękę szczerej przyjaźni, prosił o rękawicy zwrócenie.

Nie zbraniał się Litwin tak uprzejmym oznakom, uściskał Stogniewa, oddał mu rękawicę i w pełnym puharze z Polakami resztę morzył niechęci! Helena kazała ruszyć woźnicy, zostawiwszy Dowojnę, który tak bardzo pokochał swych nowych przyjaciół, że nie dogonił Heleny, aż na noclegu i to już późno.

---

*) W zwyczajach rycerskich, podjąć i schować za pas rękawicę drugiego, znaczyło przyrzec mu walkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).





O drewnianym koniku.

(Z legend o Panu Jezusie).

A jeden z tych pastuszków, co do Betleemu
W ową noc świętą przyszli, aby maleńkiemu
Jezuniowi dać pokłon i ubogie dary,
Choć na nogę utykał i już dobrze stary,
Zapragnął, by raz jeszcze ujrzeć Boże Dziecię.
A zasłyszawszy, że się chowa w Nazarecie.
Wybrał się w drogę pieszo, wziąwszy dar dla Niego:
Zabawkę — jak dla chłopca — konia drewnianego,
Którego sam wystrugał zgrabnie i misternie:
Hej, hej! ucieszysz się nim Dzieciątko niezmiernie!

A był ten konik farbą też pomalowany,
I miał siodełko, był też w czaprak przyodziany,
Istne cacko! Cieszył się myślą starowina,
Jak się to jego dziełem ucieszy Dziecina,
I szedł. Przez ziemię Judzką szedł pełen nadziei,
Że ujrzy Ją; Samaryę przebył; w Galilei
Poczęły już ustawać nogi starowinie.
Ale — nic to! — odpocznie przy Bożej Dziecinie.
Wreszcie dowlókł się starzec. Przy Józefa chacie
Przystanął. Józef z proga woła: „Jak się macie?!“
I prosi w dom; Marya też gościa zaprasza
I Dziecię. On główeczkę Jego łzami zrasza,
Do nóżek Mu upada i stopki całuje.

„A ot — konik!... Tobie go, Jezu, ofiaruję.
Wystrugałem na hali kozikiem dla Ciebie;
Przyjm ten dar od staruszka, co pierwszy na niebie
Uwidział gwiazdę Twoją, którego Anieli
Słyszeli, kiedy nucił w noc: „*Rorate Coeli!...*“
Któremu oznajmili też najpierw nowinę,
Że Przedwieczny nam zesłał na świat swą Dziecinę.
Jam to pierwszy oglądał Ciebie, Synu Boży
I pierwszy Cię powitał. Ach, jakżeś mi hoży
I śliczny, Ty nasz Panie, nazarejski kwiecie!
Przyjmij to!“... I tak mówiąc, do rączki Mu wtyka
Uzdeczkę, cugle, tręzle małego konika:
„Niechże Ci służy śliczny Jezu ku zabawce,
Gdy z wiosną hasać będziesz po zielonej trawce.“

A Dziecię słodko w oczy spojrzy pasterzowi
I szorstką dłoń mu ściśnie, a potem tak powie:
„Dziękuję ci; lecz wierzaj: nigdy ja konikiem
Bawić się już nie będę, — ale tym krzyżykiem,
Bo taką mi zabawkę Ojciec mój przeznaczył
I sam obrałem sobie.“ — Staruszek popatrzył
Na Dziecię, nie pojmując. A Ono tak powie:
„Danem jest Boże Dziecię nosić osiołkowi.
Z woli Bożej niósł on już raz wcielone Słowo,
I jeszcze raz poniesie w Niedzielę palmową.
Tak starcze; konik przyda się komu innemu...
Albo — wiesz co?... on przyda się tobie samemu;
Na nim wrócisz do domu, bo sterałeś nogi,
A do Betleem od nas ze cztery dni drogi.
Siadaj, spocznij, powiedz co o Judzkiej krainie.“

I siadł starzec, ciekawie patrząc ku Dziecinie.
I odpoczął, i duszę swoją uradował
Synem Bożym. Zabawił przez dzień, zanocował.
A kiedy dnia trzeciego szedł do dom z powrotem,
Spojrzy w okno, a konik — stoi tuż pod płotem...
Ten sam! ten sam, którego wyrzezał kozikiem.
Lecz cóż za zmiana stała się z jego konikiem!
Przez noc urósł i ożył!... hej, cóż to takiego?...
Cóż bo się to z konika stało drewnianego?...
Zachodzi w głowę; — ale w tem Boża Dziecina
Widząc, jak się dziwuje bardzo starowina,
Pociągnie go za rękę: „Pójdź, — dosiądź rumaka,
I nie dziw się, skąd zaszła w nim przemiana taka.
Wszakżeś go mnie przeznaczył... a ja powiedziałem,
Że tobie się on przyda: więc go też musiałem

Przysposobić do drogi, — a ta wszak daleka
I zbyt ciężka dla w latach podeszłego człeka.
Dosiądź go i do druhów powracaj na hali,
A gdy się konikowi będą dziwowali,
Rzecz im: niech was to bracia mili nie zadziwia,
Bo wziąłem go od Tego, co wszystko ożywia,
I który nie zapomni poczciwych górali,
Żeście Go przed innymi pierwsi przywitali“.

I starzec pożegnawszy Najświętszą Rodzinę,
Odjechał na koniku w daleką krainę.
A przybywszy do swoich, tyle im nadmienił:
„Pan konia drewnianego w żywego mi zmienił.
Cześć Mu i chwała za to, chwała Najwyższemu,
Co najmniejszą przysługę odwdzięcza każdemu“.

Jacek Obrochta.
z Andrzejkowicza

Jak Maciek rozwiązał zagadki?

— Cie go! Ten gazyciarz, to myśli, że ja Maciek Bzdura, tom taki głupi, jak on. Poukładoł se jakiesi figle w ty gazecie i chce zeby se porzondny człowiek głowę psuł nad jego bazgraniną. On myśli, że głowa do myślenia. A przecie każdy wie, co głowa jest na to, zeby mozna na nią copkę wsadzić, zeby było cem kiwnąć jak się drzymie.

Ale w tamtą niedzielę gospodarz zacęli cytać gazetę i myśleć nad jakiemisi bałamutami.

Ja ta nie myśloł, ale jak gospodarz zacęli się sumować, co to wskazuje, tom zaraz zgad, ze palec. Gadam gospodarzowi, ze to pąlec a oni wyr na mnie:

— Idź głupi spać, abo się poiskaj!

Stuliłem gębę i siedziołem cicho, a gospodarz dalej medytowali i nie mogli wymedytować: co to bucha parą. A ja tom zaraz zgad; Przecie łońskiego roku widziołem, jak Powrózkowa waliła swojego chłopa parą ręców. Bo moiściewy, baba jak bije, to parę ręców wali i jęzorem sobie pomaga. Chłop jak lunie, to ino jedną ręką, ale i tak zęby wywali, a baba nic nikomu nie zrobi.

Powiadam to gospodarzowi a oni się rozśmiali i mnie jesce na fajkę, co ją kurzyli, pojźryć się pozwolili.

Myślołem, ze juz będzie konie tych bałamutów, ale gdzie tam! Gospodarz cytają dalej, ze ten gazyciarz pyta się kiedy ludzie najmniej jedzą?

A to ci choroba ciekawa, nicem baba! Co jemu do tego!? Cy to on zimioki struze, cy to on kluski gniecie?

Jakby był mądry człowiek, toby wiedzioł, ze ja to zawse najmniej jem. Bo i jakze! Cy mi to gospodyni dadzą tyle, ilebym chcioł?

Na śniadanie dadzą ledwie donickę boszcu, miseczkę zimioków i poskrobek chleba; na obiad rynkę kapusty, garnuszek kasy, z piećdziesiąt zimiocków i kromkę chleba. Na jurynę to ani tyle nie. Na wiecerzę, Boże zmiłuj się, znowu miska zimioków, doniaka boszcu i poskrobek chleba, a jak dobrzy to ta jesce kapną z garniec klusek.

Takiemu gazyciarzowi, to nie śtuka pytać się kiedy ludzie najmniej jedzą, bo on to chyba naraz całe ciele zbucha, bo inacej toby się go takie śpasy nie trzymały, ale taki jak ja Maciek, to całe zycie najmniej jadam.

Powiadam to gospodarzowi, a oni tak się uciesyli zem zgad, że mi dali fajki pokurzyć, ino co w niej tutonu nie było.

Uciesyłem się okropnie i pedziołem gospodarzowi, zeby kazali napisać temu gazeciarzowi takie figle, coby mi gospodarz na drugi raz dali fajki, ale z tutonem.

Maciek Bzdura.

Sejm o Banku parcelacyjnym.

Przez dwa dni obradował Sejm bardzo obszernie nad sprawą Banku parcelacyjnego, którego interesy zostały zachwiane w ostatnich czasach skutkiem braku kupujących ziemię. Wszechpolacy skorzystali z tego, aby uderzyć na ludowców, mających główny wpływ w tym Banku. W ciągu obrad jednak okazało się, że interesy Banku nie są wcale tak złe; jak twierdzili jego wrogowie; interesy te przy pomocy innych banków dadzą się uporządkować tak szczęśliwie, że zapewne nikt nie poniesie straty, a włościanie żadnej.

Początek do obrad nad tą sprawą dała interpelacya pos. Cieńskiego, który zapytał, jaki był udział Banku krajowego w interesach Banku parcelacyjnego?

Na zapytanie to odpowiedział zaraz członek Wydziału krajowego, poseł Pilat i oświadczył, że komisya rewizyjna Banku krajowego stwierdziła, że Bank krajowy nie przekroczył w niczem ani uchwał sejmowych, ani postanowienia Rady nadzorczej, odnoszących się do udzielania kredytu Bankowi parcelacyjnemu. Poseł Pilat powiedział również, że nawet w razie upadku Banku parcelacyjnego Bank krajowy nie poniósłby dotkliwej straty i na dowód tego przytoczył poszczególne cyfry.

Zdawałoby się, że przez to wyjaśnienie cała sprawa jest już załatwiona, bo przecież Sejm nie może być sędzią Banku parcelacyjnego, a chodzić mu tylko o to może, czy ogólne krajowe fundusze nie zostały narażone na stratę. Ale różni posłowie nie zadowolnili się tem, zwłaszcza że w rzeczy samej chodziło im o co innego, i dlatego rozpoczęli dalej mówić o tej sprawie, tak że obrady trwały całe dwa dni. Napadali więc na Bank parcelacyjny, zarzucali Bankowi krajowemu nieostrożność w interesach, ludowcy bronili się przed zarzutami, wreszcie kilku posłów konserwatywnych starało się uspokoić spór, a przedewszystkiem przekonać, że nie ma obawy, aby wskutek interesów Banku parcelacyjnego ludność włościańska poniosła szkody. Oto treść rozprawy, ważnej i ciekawej:

Poseł Tertil twierdził, że chociaż Bank parcelacyjny nie poniesie szkody, to jednak poniosą dotkliwe szkody włościanie. Dowodził też, że spokojne rozwiązanie interesów nic jest możliwe. Pos. Jabłońki, demokrata, mówił znowu, że powinno się zbadać, kto ponosi winę i zarzucał nieostrożność kierownikom Banku krajowego. Poseł Raciborski, który dopiero po raz pierwszy przemawiał w Sejmie, wyrażał również jak najgorsze obawy, ganił projekty spokojnego ratowania i uzdrowienia Banku parcelacyjnego, a zakończył radą, aby Bank parcelacyjny oddać w ręce którejś ze spółek parcelacyjnych, to jest aby oddać go w ręce tych, którzy najbardziej z Bankiem parcelacyjnym walczyli. Najbardziej szczerze ze wszystkich przeciwników Banku parcelacyjnego mówił poseł X. Stojałowski. Nie ukrywał wcale, że istotnym celem walki z Bankiem parcelacyjnym jest walka z pos. Stapińskim. Poseł Stojałowski powiedział też wprost, że właśnie mu na tem zależy, aby poseł Stapiński został pociągnięty do odpowiedzialności i aby go obalić. Mądrze bardzo odpowiedział na podnoszone zarzuty demokrata, poseł Leo. Długiej jego mowy słuchano bardzo uważnie, bo trafiała w samo sedno wielu rzeczy. Wprawdzie oświadczył, że interesy Banku parcelacyjnego były nadto rozległe, ale twierdził,

że nie powinno się wywoływać przesileń gwałtownych, a przedewszystkiem należy wysłuchać obie strony, a dopiero potem wydawać wyrok. Powinno się więc wstrzymać w wydawaniu wyroku i czekać aż się sprawa wyświetli, co nastąpi za jakie 2 do 3 miesięcy.

Aby odpowiedzieć na podniesione przeciw nim zarzuty, zabrało głos kilku ludowców. Poseł Skołyszewski zaznaczył, że niepotrzebnie wznieca się hałas i gwałt, zamiast spokojnie pomyśleć o rozwiązaniu sprawy. Dalej tłómaczył, że towarzystwa parcelacyjne wytworzyły ogromną konkurencyę, wskutek czego cena ziemi poszła bardzo w górę. Poseł Stapiński wyjaśnił najpierw, że Wszechpolacy urządzają na niego nagonkę, ponieważ nie chce ich dopuścić do władzy. Aby się zato zemścić, robią wszystko, byleby doprowadzić do upadku Banku, przez co włościanie ponieśliby dotkliwe straty. — W bardzo ciekawych słowach przedstawił mówca sposoby walki używane przez stronnictwo konserwatywne, a przez Wszechpolaków. W czasie agitacyi o powszechne prawo wyborcze — opowiadał poseł Stapiński — Bank parcelacyjny był dłużny Bankowi krajowemu 600.000 koron; wtedy doradzano konserwatystom, by „przycisnąć" Bank parcelacyjny, a tem samem osłabić stronnictwo ludowe. Konserwatyści tego nie zrobili, bo interes kraju i interes ludności stawiali ponad interes partyjny, bo nie chcieli walczyć środkami moralnie złymi. Inaczej postępują dziś Wszechpolacy. Pos. Stapiński oświadczył dalej, że nikt z tych, którzy zaufali Bankowi parcelacyjnemu nie poniesie straty. Dalej przypomniał, że znawcy wysłani przez banki, chcące ratować Bank parcelacyjny stwierdzili, iż w rachunkach nie ma żadnych rażących nadużyć. Bank sprzedawał ziemię drogo, ale nie mógł sprzedawać inaczej, bo ceny wogóle podskoczyły w górę. A ziemia polska, chociażby nie wiedzieć jak droga, musi być utrzymana po wieczne czasy w polskich rękach. Długa mowa posła Stapińskiego przekonała istotnie, że ryczałtowe zarzuty, jakie podniesiono, były bezpodstawne i że oskarżyciele przystąpili do sprawy bez dowodów.

Z innych ludowców przemawiali jeszcze poseł Wasung, który zauważył, że nie należy uważać stronnictwa ludowego za jedność z Bankiem parcelacyjnym i pos. Stefczyk, który podniósł, że w sprawie Banku parcelacyjnego idzie przedewszystkiem o zażegnanie popłochu i spokojne rozwiązanie interesów.

Z mówców stronnictwa konserwatywnego dał pos. Gorayski bardzo dokładny obraz interesów Banku parcelacyjnego i stwierdził, że gwałt podniesiony w pismach był nieuzasadniony. Delegaci banków lwowskich, wybrani umyślnie w tym celu, przekonali się o trzech rzeczach: 1) że stan interesów banku parcelacyjnego jest lepszy niż przypuszczano; 2) że nie napotkano w rachunkach śladów rażących nadużyć; 3) że parcelacye były prowadzone wzorowo, a pozostałe grunta i majątki są skomasowane z budynkami, natomiast odleglejsze i gorsze grunta są sparcelowane i sprzedane. — Uspokajająca mowa pos. Gorayskiego wypowiedziana zaraz z początku obrad, nie powstrzymała jednak dalszej dyskusyi nad tą sprawą.

Pod koniec obrad przemawiał drugi mowca stańczykowski Jędrzejowicz. Wziął on w obronę dyrektora Banku krajowego i pochwalił właśnie, że dyrektor ten w chwili grożącej ruiną rolnikom, poruszył myśl ratunku. Zadaniem Sejmu, zakończył mowca, jest w tej chwili nie pomoc pieniężna dla Banku parcelacyjnego, ale pomoc moralna, która nakazuje uspokajać i zapewnić, że interesy Banku parcelacyjnego da się rozwikłać bez szkody dla nabywców ziemi. Do tego powołane są wszystkie polityczne stronnictwa, którym dobro ludności naprawdę leży na sercu.

Wreszcie po dwóch dniach zakończyły się obrady nad tą sprawą, tak niepotrzebnie poruszoną.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

Pierwsze zwierz — drugie litera,
A całe z nieba spoziera.

2. Zagadki.

(Nadesłał Leon Łętowski z S.)

a).

Baba się mozoli, gdy igłę nawłóczy,
Chłop szyje bez igły, choć się szyć nie uczy.

b).

W izbie było, w sieni było,
Na dwór jęzór wystawiło.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy w nagrodę M. Konopnickiej **„Wybór pism"**, pięknie oprawną książkę, obejmującą 334 stronic druku. Nagroda będzie losowana z pomiędzy tych, którzy nadeślą dobre rozwiązanie do dnia 13 lutego 1910 r. Nagrodę może otrzymać tylko prenumerator. Adres: Kraków, Rynek główny L. 8. Redakcya *Roli*.

* * *

Znaczenie zagadek z Nr. 4-go *Roli*: 1. szarada: **Towar**, 2. zagadka: w **lutym** jedzą ludzie najmniej, **gdyż ma tylko 28 dni.**

* * *

P. Alojzy Cieśla z B. przesyła rozwiązanie w następującym wierszyku:

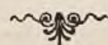
Dzisiaj *Rolę* otrzymałem i pilnie ją czytam.
Napotkałem tam szaradę, za głowę się chwytam.
Ta szarada do nagrody, trzeba ją rozwiązać
Składnie, ładnie pierwsze z drugiem w jedną całość związać.
„To" wskazuje, gdy się mówi: „Będzie coś dobrego",
„War" paruje domyślam się z szarady drugiego.
A więc towar można ważyć, albo metrem mierzyć,
Więc nagrodę ja otrzymam, proszę mi uwierzyć...
A że luty jest najkrótszy, więc w nim najmniej jedzą,
O tem wszyscy, jak przypuszczam, chyba dobrze wiedzą.
Kończąc moje rozwiązanie, pełne szczerych chęci,
Proszę Panów Redaktorów mieć mnie na pamięci:
By Panowie Redaktorzy wszystko odczytali,
A w nagrodę jaką książkę piękną mi przysłali.
Będę czytał wszystkim ludziom, by pilnie słuchali,
A gazetkę naszą *Rolę* chętnie popierali.
Niechaj *Rolę* rozpowszechnia, gdzie jak może który,
A radośnie i rzetelnie opłaca ją z góry!!

Oprócz tego dobre rozwiązanie szarady i zagadki nadesłali: PP. Leon Łętowski z S., Antoni Kucharczyk z P., Michał Niewola z S., Józef Witkowski z N., Adela Bezokówna z K., Michał Pietryka z B., Józef Wiśniowski z B., Jan Cieśla z B., Józef Strug z L., Fr. Migdał z S., Jędrzej Malinowski z Cz.

Samą szaradę dobrze rozwiązali: PP. J. Śmietana z Ł., Jan Urbanik z H., Józefa Hirszbergowa z K.

Samą zagadkę dobrze rozwiązali: Jan Marszałek z Z., Józef Florek z G., Franciszek Gniadek z G.

W nagrodę przy losowaniu otrzymał P. Leon Łętowski w S. oprawną książkę **M. Sleczkowskiej „Nasze skarby"**, wartości 2 kor., z przesyłką 2 k. 35 h.



OGROMNA POWÓDŹ WE FRANCYI.

Stolicę Francyi, miasto Paryż, liczące 3 miliony mieszkańców, nawiedziła ogromna klęska powodzi. Ogromne to miasto, posiadające wspaniałe budynki, wartające miliony, a mieszczące w sobie taką ogromną ilość ludzi, stoi na znacznej przestrzeni pod wodą.

Przez środek Paryża przepływa rzeka Sekwana, otoczona z obydwóch stron wysokimi murami, aby woda gdy wzbierze, nie wylała. Po obydwu brzegach rozciągają się wspaniałe bulwary. Są to, jakby piękne ogrody, poprzerzynane ścieżkami i drogami, gdzie zwykle tysiące ludzi używa przyjemnej przechadzki lub przejażdżki.

W dniach 22 i 23 stycznia br.. gdy u nas spadł pierwszy większy śnieg, w całej Europie zachodniej i południowej zaszła zmiana pogody. Ciepłota obniżyła się, wszędzie spadły śniegi lub deszcze. We wtorek dnia 25 stycznia dwie duże dzielnice zalała woda tak, że ulicami musiano jeździć na czółnach.

Z każdym dniem woda przybierała coraz bardziej. Liczne mosty kamienne nad Sekwaną, podmulone przez wodę, grożą zawaleniem się. Panuje obawa, aby który z tych mostów nie runął do wody, gdyż razem z nim zginęłoby wiele ludzi. Wobec tego zaraz z początku powodzi jeden z mostów, Alma, musiano wysadzić w powietrze, Zaledwie przebrzmiał huk spowodowany wysadzeniem mostu, aż tu słychać rumot ogromny — to runął pięciopiętrowy dom, położony w stronie południowej Paryża. Następnej nocy runął znów, podmulony przez wodę, inny, trzypiętrowy dom.

Deszcz ze śniegiem padał bez przerwy, sprawiając chwilami wprost wrażenie oberwania się chmury; wskutek tego powódź przybierała coraz to większe rozmiary. Wzburzona rzeka wyglądła jak olbrzym, zagarniający coraz większe przestrzenie i wyrządzający coraz większe szkody, które wyniosą wiele milionów.

Woda wzburzona i spieniona niesie kawały drzewa, pnie wyrwane, sprzęty i szmaty. Mosty, które wznoszą się dość wysoko nad powierzchnią wody, teraz jakby się zapadły w nia i służą za tamy, na których zatrzymują się szczątki niesione falami. W zwykłym czasie popod mosty mogą przejeżdżać duże parowce rzeczne, lecz dziś ani mała łódka prześliznąćby się nie mogła.

Nad Sekwaną cisną się dziesiątki tysięcy ludzi, spoglądając na groźną rzekę. Są w tym tłumie ludzie, którym woda zalała już na przedmieściach mieszkania, są robotnicy pozbawieni pracy w fabrykach zalanych wodą. Wszystkie szczury pouciekały z piwnic zatopionych i błąkają się tysiącami o głodzie i chłodzie po suchych miejscach.

Złość ludzka i zbrodnia potrafi korzystać i z największego nieszczęścia ludzkiego, to też i w Paryżu setki rzezimieszków i złodziejów korzysta ze sposobności i rabuje gdzie może i co może. Przeciw nim wysłano wojsko, aby to choć w części zapobiegło rabnnkom.

Ale nie na tem koniec klęsce. Wody poniszczyły drogi i koleje, wskutek czego dowóz żywności nadzwyczaj utrudniony. Obawiają się więc powszechnie, że gdy stan taki potrwa dłużej, zabraknie żywności.

Nawet gazety nie mają już papieru i zapowiadają, że będą drukować na papierze kolorowym. Liczba robotników pozbawionych pracy skutkiem powodzi wynosi w Paryżu i okolicy 100.000 ludzi.

Taksamo groźne jest niebezpieczeństwo na prowincyi.

Jednem słowem: nieszczęście! Przyznają to sami Francuzi, patrzą na ogrom zniszczenia obecny, a zarazem spoglądają z trwogą w przyszłość, gdyż łatwo może tam wybuchnąć tyfus i inne choroby.

Powiadają niektórzy, że to kara boska za prześladowanie religii katolickiej, za znieważanie kościołów, za wypędzanie kapłanów katolickich.

Któż zdoła zgłębić wyroki Boże?!...



Jazda przez ulicę. Powrót do mieszkania. Stacya kolei podziemnej.



Pociąg kolei miejskiej. Rzeka na ulicy.

Wzrok ofiary.

VII. Obraz w oku.



Tymczasem zwłoki Rowera przeniesiono do kostnicy. O godzinie wyznaczonej na sekcyę zwłok stawił się pierwszy Bernadet, wzruszony, w duchu pytając, czy sędzia śledczy myślał o jego sprawie przez ten czas i czy pozwoli na to doświadczenie sfotografowanie oczu.

— Gdyby to nie był Ginory, lecz kto inny — myślał ajent — powiedziałbym sobie, że sprawa zapieczętowana. Ale z nim trudno mieć pewność. On nie boi się prób i doświadczeń.

Bernadet miał pod pachą swój aparat fotograficzny, groźniejszy dla przestępców od nabitego rewolweru. Wywołał już fotografie, zdjęte w domu Rowera. Dwa zdjęcia z trzech udały się wybornie. Oczy, żywe niemal, zachowały i na fotografii straszny wyraz oskarżenia.

Oględziny zwłok miały się odbyć o jedenastej przed południem. Dwadzieścia minut przed oznaczonym czasem był już Bernadet w kostnicy *). Chodził przed wejściem jak żołnierz, patrząc na tych ludzi, co wchodzili do wnętrza, aby przypatrzyć się porozkładanym na marmurowych stołach zwłokom.

Nigdy jeszcze może w życiu nie trapiła Bernadeta taka żądza powodzenia, jak obecnie. Pałał żądzą wykrycia mordercy, jak rzadko. Nie kierowała nim przytem nadzieja, że otrzyma nagrodę pieniężną, lecz myśl, że zyska chwałę, wprowadzając nowy sposób postępowania w szukaniu morderców.

W tej chwili Bernadet spostrzegł powóz, z którego wysiadł sędzia z pisarzem. Podbiegł i oddał Ginoryemu ukłon, pełen uszanowania.

Sędzia zauważył to wczesne przybycie, spowodowane niecierpliwością i nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Widzę, że pan trwa przy swej myśli?

— Przez całą noc o tem śniłem, panie sędzio.

— Tak, tak, — odparł Ginory. — Żadnym pomysłem nie można z góry gardzić. Nie widzę przyczyny, któraby nam zabraniała spróbować szczęścia w tym kierunku. Myślałem nad tem i doszedłem do takiego wyniku.

— O panie sędzio! Gdyby pan tylko chciał! Kto wie, co możemy w ten sposób osiągnąć?

— Będę zadowolony, jeżeli lekarz przeprowadzający sekcyę, nie uzna całego pomysłu za głupstwo, niegodne uwagi!

*) Kostnica w Paryżu jest bardzo wielka. Codziennie układają tam po kilkunastu ludzi zabitych, zmarłych nagłą śmiercią i kładą trupy na stołach. Ludziom z miasta wolno przychodzić i oglądać trupy.

Ginory obszedł tymczasem budynek i udał się do wnętrza kostnicy. Pisarz szedł za nim, a Bernadet zamykał ten mały pochód.

Musieli czekać na przybycie lekarzy. Kierownik starał się tymczasem uprzyjemnić urzędnikom czas, jak mógł. Obznajamiał ich ze spostrzeżeniami, jakie mu się nasunęły na widok świeżo przyniesionych trupów. Ginory słuchał z ciekawością. Nadejście lekarzy przerwało rozmowę. Profesor Morin przybył w towarzystwie młodego lekarza Duńczyka, który interesował się wielkimi postępami wiedzy i śledził każdą nowość. Morin powitał Ginoryego, przedstawił Dra Erwina i wyraził zdanie, iż urzędnicy kostnicy, aby oszczędzić czasu, zaczęli już pewnie sekcyę zwłok. Istotnie zwłoki leżały na stole marmurowym, a dwóch ludzi z nożykami stało obok, patrząc na trupa, który wydawał się jeszcze straszniejszym, z raną, krwawo odbijającą od białego ciała.

Bernadet wśliznął się do sali stanął skromnie w kącie słuchał, patrzył i nie spuszczał Ginorego z oczu. Sędzia stał schylony nad trupem. W otoczeniu tylu ludzi trup wyglądał na figurę woskową. Lekarze pochylili się nad zwłokami, zanurzając nożyczki w ciało. Rana przez którą uleciało życie, rozszerzyła się jeszcze pod ich dotknięciem.

Profesor i pomocnicy jego prowadzili dalej akcyę, wymieniali uwagi i starali się z rany dociec, jakiego kształtu nożem ją zadano. Tymczasem zbliżył się Bernadet do sędziego na palcach i z szacunkiem szepnął mu do ucha słów kilka.

— Panie sędzio; teraz nadeszła sposobna chwila, Pan może teraz, jeżeli pan chce...



Sędzia śledczy posiada znacznie większą władzę, aniżeli w innych krajach, we Francyi. Idzie prostą drogą do prawdy, a wolno mu obierać kierunek, jaki uzna za stosowny. Wszystko, co nakaże, stanie się, bo on tak chce. Ginory widocznie się wahał: poskrobał się z zakłopotaniem w głowę zagryzł usta, lecz nie mógł się namyślić, i patrzył dalej na zwłoki. Po długiej chwili zapytał:

— Panowie, — czy nie zwraca uwagi waszej wyraz tych oczu?

— Naturalnie. Bardzo ciekawy wyraz najwyższej trwogi, — oświadczył Morin.

— A gdyby ten ostatni obraz — naturalnie mordercy — przechował się w oku trupa?

Morin spojrzał na sędziego ze zdziwieniem, i trochę drwiąco. Inni lekarze zamienili znaczące spojrzenia. Tylko dr. Erwin, jak zauważył Bernadet, podniósł głowę i dawał Ginoremu znaki.

— Obraz ten dawno znikł z siatkówki — oświadczył Morin.

— Kto wie! — odparł sędzia.

— W głębi tych oczu, — rzekł Morin, dotykając ich końcem nożyka — nie ma nic. Wierz mi pan, panie sędzio. Byłaby to strata czasu, nic więcej.

— Trochę czasu mniej, albo więcej, cóż to znaczy, — odparł sędzia. — Próbę warto zawsze podjąć.

W tej chwili powstał dr. Erwin i jasnym przenikliwym głosem zaczął mówić co następuje:

— Panie profesorze — rzekł stanowczo, lecz z wielkiem uszanowaniem — zdarzyło mi się raz widzieć biedaka, którego poszarpał wilk. Gdy wydobyto go ze szponów bestyi, miał w oczach bardzo dobrze zachowany obraz, na którym było widać pazury i łapy zwierzęcia. Może to była i wizya, lecz ciekawy przypadek zmuszał nas wprost do badania.

— I cóż? — spytał Morin ironicznie.

— To — odparł zimno młody lekarz — że choć nie stwierdziliśmy, to jednak mieliśmy wrażenie, że próba, ponowiona w szczęśliwych okolicznościach mogłaby mieć inne wyniki. Wiesz pan przecież lepiej odemnie, panie profesorze, iż przedmioty odrysowują się w zmniejszeniu w głębi oka i tam się ukazują. W źrenicy oka znajduje się jak wiadomo czerwona materya, bardzo czuła na światło. Na tej czerwonej plamie odrysowują się biało widziane przedmioty. Kto wie zatem, czy oko trupa nie odkryje nam tajemnicy, którą schwytano za życia.

Bernadet był w siódmem niebie, słysząc: jak młody uczony omawia jego sprawę. Wszyscy słuchali ciekawie, a trup podobny do białego pomnika, zdawał się oczekiwać na koniec.

A Ginory, popychany ciekawością, postanowił w duchu wszystkiego dokonać, aby zbliżyć się do rozwiązania tej zagadki. Teraz już nie myślał o ustąpieniu. Usprawiedliwiając się bardzo grzecznie, prosił niemniej stanowczo Morina, aby zechciał tajemnicy poszukać w oku.

— A jeżeli nic nie znajdziemy — zakończył — to wiedzy przybędzie jedno nieudałe doświadczenie.

Morin uśmiechał się niedowierzająco, jak poprzednio. Że jednak sędzia śledczy mógł nakazać, co mu się podobało, profesor posłuchał w końcu próśb i nalegań, oświadczając jednak raz jeszcze, że wszystko to uważa za próżną zabawkę.

W kostnicy jest zawsze aparat fotograficzny, zresztą Bernadet nie zostawił swojego w domu. Natychmiast po wyjęciu oka z głowy, można było przystąpić do dzieła. Bernadet, przywykły do podobnych operacyi, miał wiele zimnej krwi.

Przyłączył się też do sądowego fotografa i prosił go o pozwolenie zrobienia fotografii swoim aparatem. Pozwolenie to otrzymał, skorzystał zeń z całą ostrożnością, aby nie popsuć płyt fotograficznych i natychmiast udał się do domu.

* * *

Żona jego i dzieci zdumiały się, widząc ojca w stanie niezwykłego niepokoju. Przyszedłszy do domu, zamknął się w pokoju, a wyszedłszy po pewnym czasie, nic nie mówił. nie jadł... Ale twarz jego nabrała wyrazu radości, choć zapadał często w zamyślenie.

— Czyś nie chory? — pytała kilkakrotnie żona.

— Nie. Myślę nad jedną sprawą.

A dziewczątka szeptały z uszanowaniem:

— Ojciec jest na tropie...

Tak było. Fotografia źrenicy, którą właśnie powiększył, zdradziła tajemnicę. Bernadet mógł donieść kierownikowi policyi i fotografowi sądowemu, że na fotografiach widać zamazany wprawdzie, ale dość jeszcze jasny obraz człowieka, twarz, która może służyć za list gończy niejako...



Jakby na tle chmury w białej obwódce ukazywała się twarz mężczyzny, pod szkłem powiększającem widzialna nawet niezbyt niedokładnie. Można było rozróżnić szpiczastą, czarną brodę, dość łysą czaszkę, dwa czarne otwory, które miały oznaczać oczy, głęboko osadzone w chudej twarzy. Było to niewyraźne, lecz fotograf sądowy był i tak zdziwiony niepomiernie wynikiem zdjęcia. Fakt był nie do zaprzeczenia.

— Gdyby tak się udało — mówił fotograf sądowy, zdumiony i przekonany już przez Bernadeta — gdyby tak się udało odkryć mordercę przy pomocy fotografii! Byłby to cud prawdziwy.

VIII. Człowiek odbity w oku.



Tego samego dnia posłano fotografie do sędziego śledczego.

Bernadet wiedział to dobrze, iż sędzia chętnie poda mu dłoń przy dalszych poszukiwaniach i próbach tak, jak to uczynił poprzednio. — Sędzia Ginory był z zawodu człowiekiem ciekawym wszystkiego, co nowe. Złodzieje paryscy nazywają sędziów śledczych w języku swoim „ciekawymi", a Ginory był podwójnie ciekawym.

Gdy Bernadet złożył na stole cztery pierwsze fotografie, usłyszał zniechęcający okrzyk:

— Bardzo pięknie, lecz ja nic nie widzę. Cóż to jest? Ciemność, mgła...

Dopiero gdy ajent wyjął z kieszeni szkła powiększające, zaczął obraz objaśniać i palcem rysować, sędzia przestał rzucać drwiące pytania. Po paruminutowem wpatrywaniu się w fotografię rzekł nareszcie:

— Istotnie. Widzę teraz to, o czem pan mówisz. Obraz się udał. Czy to jednak dość wyraźne, aby dać podstawę do poszukiwań? Sam jeszcze nie mogę pojąć, lecz co prawda z każdą chwilą nabiera ta mgła kształtów ludzkich. Teraz widzę twarz wyraźniej, niż przedtem, gdy się dobrze wpatrzę... A! do dyabła. Gdyby tak się udało.

— Uda się, panie sędzio! Mogę na to przysiądz, że się już teraz uda!

Zapał ajenta udzielił się i sędziemu Ginory postanowił nieodwołalnie, iż śledztwo ma iść torem, który wskazywał ten tajemniczy obrazek. Przedewszystkiem jednak trzeba było pokazać fotografie ludziom, którzyby mogli odnaleść na nich twarz znaną, widzianą może po kilka razy...

— Przedewszystkiem więc wezwiemy Monisza i jego żonę — mówił Bernadet.

Moniszowie, otrzywawszy wezwanie, nie posiadali się z radości.

Na przesłuchanie ubrali się po świątecznemu.

Niezadługo siedzieli na ławce w pustym, długim przedsionku sądowym i przyglądali się oskarżonym, których prowadzono co chwila.

Tymczasem więc rozmyślali o swoim domu, gdzie czekały już w tej chwili zastępy kumoszek i kumotrów, aby się dowiedzieć o wyniku przesłuchania,

Wreszcie usiadłszy przy stole naprzeciw sędziego i pisarza, który notował każde słowo, przycichli oboje i nie było im wcale tak przyjemnie, jak sobie wyobrażali na korytarzu i w domu.

Dzięki zeznaniom jego i jego żony, mógł sędzia odbudować szczegół po szczególe całe życie domowe Rowera.

— Czy nigdy nie pytała żadna kobieta o pana Rowera?

— Jedna. Dama w żałobie. Ale nie znam jej.

Żywe wrażenie zdawała się robić na sędzim scena przed kasą Rowera, opowiedziana przez Moniszową.

— Czy wie pani, jak ten człowiek się nazywa?

— Nie, panie sędzio — odrzekła Moniszowa.

— Czy poznałaby go pani?

— Bezwarunkowo.

— Dobrze. Dziękuję pani. Do widzenia.

Poczciwa Moniszowa spieszyła się do domu, aby opowiedzieć wrażenie swoje kumoszkom.

A sprawa ta była przecież nieskończoną! Pogrzeb Rowera miał odbyć się nazajutrz, gdyż już przeniesiono zwłoki z powrotem z kostnicy do mieszkania. Pogrzeb musiał oczywiście zgromadzić niezwykłe tłumy ludzi, tem bardziej, że tajemnica, otaczająca zwłoki, jeszcze się nie rozjaśniła. Między papierami Rowera znaleziono kwit na grób, zakupiony na cmentarzu. W innem piśmie zarządzał wszystko co do pogrzebu, chciał, by go pochowano po cichu. Po za tem nie znalazło się żadne rozporządzenie ostatniej woli, żaden testament.

Samotność, w jakiej żył Rower, podniecała zaciekawienie tłumu i pociągała go ku domowi — który wybito wewnątrz, sień i bramę uliczną, czarnem suknem.

Przyjaciół nie wielu było w tym tłumie. który zbiegł się ze wszystkich stron, ale życzenie zmarłego nie zostało wysłuchane. Pogrzeb, który miał być „cichym", zmienił się w głośną uroczystość pogrzebową, na którą przybyły tłumy ludzi, aby oglądać trumnę, przyozdobioną przez sąsiadów.

Trumnę ustawiono na ostatnim stopniu schodów. Monisz położył obok na stołku kilka kartek papieru na którym przelotni znajomi Rowera zapisywali nazwiska *).

Bernadet, oglądając uważnie i słuchając na wszystkie strony, wmięszał się w tłum, zwracając uwagę na osoby, biorące udział w pogrzebie.

Stał właśnie w pobliżu drzwi, gdy w półcieniu bramy ukazał się człowiek w czarnem ubraniu, lat mniej więcej pięćdziesięciu.

Moniszowa, która wdziała żałobną suknię i trzymała w ręku białą chustkę, choć nie płakała, stała koło Bernadeta. Zobaczywszy tego człowieka, gdy wstępował z ciemnej bramy w krąg światła, krzyknęła zlekka i cofnęła się w tył, chwytając ajenta za rękę.

— Na miłość Boską....

Mówiła bardzo po cichu tak, że Bernadet raczej odgadnął, niż posłyszał ten stłumiony wykrzyk. Popatrzył na kobietę. Zbladła i szepnęła:

— To on... widziałam go przed kasą Rowera.

Nieznajomy pochylił się nieco. Wtedy można było widzieć, że ma łyse, wysokie czoło, posiwiałą, szpiczastą brodę.



Ajent doznał dziwnego wrażenia... Zdawało mu się, że widział już gdzieś to wysokie czoło, tę brodę, głowę o takim kształcie...

Wstrząsnął się cały na nagłą myśl, która przeleciała mu przez głowę. Tam, przed nim stał człowiek, przypominający do złudzenia cień na fotografii oka.

— Kto to być może?

Z naprężoną uwagą śledził Bernadet dalej tego człowieka. W duchu porównywał go z cieniem na fotografii. Tak, to były te same zarysy głowy i brody, ten sam charakter.

Ponura ta fizyognomia wydawała się w półświetle jeszcze bardziej ponurą.

Nieznajomy zapisał swe nazwisko i odszedł dalej.

— To on, to on — powtarzała Moniszowa, drżąc na całem ciele, jak gdyby zobaczyła ducha.

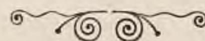
Zaledwie nieznajomy odszedł ku bramie, gdy Bernadet jednym susem zbliżył się do stołu i nachyliwszy się, odczytał nazwisko:

„Jakób Dantin". Nazwisko było ajentowi zupełnie nieznane.

— Nie trzeba mówić nikomu, że widziała tu pani tego człowieka — zwrócił się Bernadet do Moniszowej. Nikomu! Rozumie pani!

Szybko wyszedł na ulicę, szukając oczyma Dantina, którego postanowił śledzić.

(Ciąg dalszy nastąpi).



*) We Francyi jest zwyczaj, że przy trumnie kładą arkusz papieru na stole i ołówek. Wszyscy, którzy chcą wyrazić rodzinie żal po zmarłym, wypisują swe nazwiska.

KRONIKA.

Nagłówek „Roli“. Z numerem dzisiejszym rozpoczynamy wydawać naszą gazetkę pod nowym nagłówkiem. Rysunek zapewne miły tym naszym Czytelnikom, którzy *Rolę* czytają od założenia, pozostawiamy ten sam, odświeżyliśmy go tylko, zrobiliśmy go jaśniejszym i weselszym. Mamy nadzieję, że *Rola* i pod nowym nagłówkiem będzie się cieszyła taką samą życzliwością Czytelników, jak dotychczasowa. Ze swojej strony redakcya przyrzeka i nadal pracować, by Czytelnicy byli zawsze zadowolonymi.

Polskie Tow. Emigracyjne w Krakowie otrzymało pozwolenie na prowadzenie biura podróży z uprawnieniem do sprzedaży kart okrętowych wszelkich kategoryj. Ważne to pozwolenie, które pozwoli Towarzystwu znacznie rozszerzyć zakres działania, pozyskane zostało wskutek nader życzliwego stanowiska lwowskiego namiestnictwa i ministerstwa handlu w Wiedniu, oraz dzięki energicznej interwencyi ze strony ministerstwa dla Galicyi i prezydyum Koła polskiego. Dzięki nim, powstaje poważne i nie obliczone na wyzysk wychodźców biuro, do którego zwracać się może każdy z zaufaniem. Biuro znajduje się w Krakowie, ul. Kolejowa 3.

Krwawa bójka w Sejmie. We czwartek dnia 27 stycznia b. r. dwaj posłowie ruscy, bracia Tymoteusz Staruch i Antoni Staruch pobili do krwi dziennikarza Rusina, Witołda Demiańczuka, na korytarzu Sejmu we Lwowie. Jak twierdzi poseł Tymoteusz Staruch, Demiańczuk uderzył go pierwszy w twarz, chociaż ten znowu temu zaprzecza. Dość na tem, że Staruch rzucił się na niego i zaczął go walić kułakami po głowie. Na pomoc przyszedł mu brat poseł Antoni Staruch i bił Demiańczuka kułakami w plecy. Z twarzy bitego poczęła płynąć krew, aż wreszcie upadł na posadzkę. Staruchowie leżącego na ziemi bili dalej, a Antoni Staruch kopał go w brzuch i piersi. Na krzyk bitego nadbiegli posłowie Lewakowski, Długosz i Löwenstein, oraz Paweł ks. Sapiecha i obronili bitego. Zjawił się także marszałek i strwożony zaczął dopytywać się, co zaszło. Tymoteusz Staruch, zobaczywszy marszałka, podniesionym głosem zażądał od niego wezwania policyi i aresztowania Demiańczuka, poczem skoczył dalej ku Demiańczukowi i zaczął go na nowo swoją czereśniową laską okładać. Krew strumieniem zaczęła ciec Demiańczukowi z głowy i twarzy nim go posłowie zdołali zasłonić. Posłowie ruscy Konstanty Lewicki i Skwarko poczęli wymyślać Demiańczukowi, który wyglądał strasznie, gdyż głowa jego i twarz przedstawiały jedną ranę. Gdy Demiańczuk zobaczył pos. Skwarkę, zawołał: Ja wam za to zapłacę!

Posłowie ruscy zażądali, aby marszałek kazał Demiańczuka aresztować, lecz marszałek odpowiedział: „Niech się tem zajmie policya i sąd; posłowie do takich świństw nie będą się mieszali!“ Demiańcznk odjechał do domu, a całą sprawą zajmie się sąd.

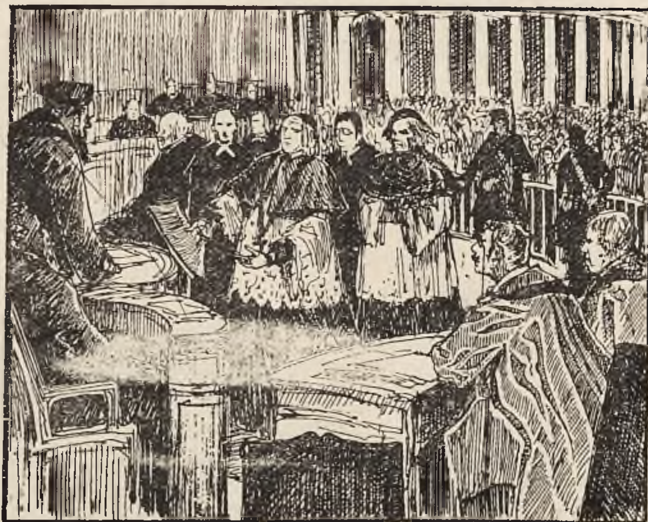
Jakto trzeba uważać, kogo wybierać posłem!...

Proces Borowskiej, o którym pisaliśmy w Nrze 1 *Roli*, skończył się w sobotę. Sześciu sędziów orzekło, że Borowska zabiła adwokata Lewickiego, sześciu, że nie. Ponieważ do skazania potrzeba ośmiu głosów, trybunał ogłosił ją za uwolnioną, jednakowoż zatrzymał w więzieniu, ponieważ prokurator zgłosił zażalenie nieważności. Jeżeli Trybunał Najwyższy uzna nieważność, odbędzie się nowa rozprawa przed przysięgłymi.

Sejm węgierski został odroczony, ponieważ zaraz na pierwszem posiedzeniu uchwalił nieufność dla nowego gabinetu. Wskutek tego prezydent ministrów, hr. Khuen-Hedewary odroczył Sejm, uzyskał pozwolenie cesarza na jego rozwiązanie i ogłosi nowe wybory, które zapewne odbędą się w maju lub czerwcu.

Kardynał przed sądem. Wiadomo, na jakie prześladowanie narażony jest Kościół katolicki w Francyi, gdzie niedawno skonfiskowano i zmarnowano kilkaset milionów prywatnych dóbr zakonnych, gdzie księży i biskupów karzą i ścigają za spełnianie obowiązków duszpasterskich. Rząd republikański wyrzucił ze szkół krzyże i obrazy świetych, dzieci nie pozwala uczyć dobrze katechizmu, a to wszystko dlatego, że krajem rządzą żydzi i masoni, którzy sprzysięgli się na zgładzenie wiary i Kościoła św. Oczywiście nie podołają, bo według słów Chrystusa Pana, nawet bramy piekielne nie przemogą Kościoła świętego. Ale przecież te prześladowania czynią położenie katolików, księży i biskupów bardzo ciężkiem. Niedawno zdarzył się taki wypadek:

Arcybiskup z miasta Reims, kardynał, wydał list pasterski do swoich wiernych, z ostrzeżeniem, by nie czytali pewnych książek szkolnych, i nie dawali ich do rąk dzieciom swoim, ponieważ szerzą niewiarę i sprzeciwiają się wierze św. i naukom Kościoła. Bezbożny księgarz, który wydał te książki, zaskarżył świątobliwego, znakomitego rozumem kardynała do sądu, o to, że szkodzi jego interesom. Urzędnicy republikańscy ucieszyli się, że mogą dokuczyć kardynałowi i przyłączyli się do skargi.



Proces odbył się przed kilkunastu dniami. Wszyscy myśleli, że oskarżony książę Kościoła poszle tylko swego adwokata, a nie będzie się trudził sam. Ale kardynał udał się do wielkiej sali sądowej osobiście w towarzystwie biskupa i kilku księży. Tu, trzymając w ręku ową złą książkę wymownie dowiódł, że list pasterki miał racyę, że biskupi nie prowadzą żadnej polityki, nie sprzeciwiają się nawet władzom republikańskim, tak niegodziwym dla Kościoła, tylko pilnują czystości dusz powierzonych sobie owieczek. Wspaniałej jego mowie przysłuchiwali się z uwagą dwaj adwokaci księgarza, cały sąd i liczny tłum ludzi. Sędziowe nie mogli odrazu wydać wyroku, bo mowa kardynała poruszyła ich sumienie, nieprzychylne dotychczas dla Kościoła i odroczyli rozprawę, aby się namyśleć. Powracającego z sądu kardynała ludność na ulicy przyjęła okrzykami radości i wdzięczności.

Tragiczny zgon urzędnika kolejowego. W zeszły piątek, o godzinie 6 rano, na stacyi w Kłaju, urzędnik kolejowy Jamroz chciał się udać do Biadolin, gdzie obejmował właśnie służbę. Gdy się zbliżał do pociągu, od strony Lwowa nadjechał pociąg błyskawiczny i rozszarpał nieszczęśliwego.

Woskresieński powieszony. Jak donoszą z Petersburga morderca pułkownika Karpowa, o czem pisaliśmy w nrze 1 *Roli*, został tam 25 stycznia powieszony.

Podróż pięcioletniego dziecka z Danii do Polski. Dnia 24 stycznia b. r. wieczorem przyjechała z Kopenhagi, stolicy Danii, do Lwowa pięcioletnia dziewczynka, Marya Matuszakówna zupełnie sama. Matka zamieszkała w Kopenhadze, wyprawiła dziecko do ciotki do Lwowa. W tym celu przywiązała dziewczynie tabliczkę na szyi którędy i gdzie miała jechać, a do kieszeni dała jej list pisany po polsku i po niemiecku z prośbą o opiekę i wskazówki w czasie popróży. Konduktorzy kupowali jej bilety za pieniądzie, które jej matka dała do kieszonki, w czasie drogi oddawali ją pod opiekę pań jądących, a gdy się zmieniali, wręczali sobie ten żywy towar, aby szczęśliwie dojechał do celu przeznaczenia. W ten sposób dziecko, bardzo grzeczne i śmiałe dotarło szczęśliwie do miejsca przeznaczenia. Niewinność znajduje opiekę u Boga i ludzi.

Ojciec wepchnął syna do kryminału. U Franciszka Wrony w Liszkach służył 15-letni parobczak Maciej Szewczyk. Przed dwoma tygodniami Wrona obił Szewczyka za jakieś przewininienie tak dotkliwie, iż ten uciekł ze służby. Ojciec pobitego zgłosił się do Wrony, domagając się zapłaty za odbytą służbę syna. Wrona nie chciał tego uczynić, żądając, aby młodszy Szewczyk wrócił do służby i odsłużył jeszcze według umowy, dwa miesiące. Wzburzony odmową stary Szewczyk, namówił syna, aby ten podpalił zagrodę Wrony. W tym celu dał on chłopakowi cygaro, oblane naftą i pouczył go dokładnie, jak ma dokonać podpalenia. — Chłopak najdokładniej wykonał polecenie Ojca. W jednej chwili stanęła stodoła Wrony w płomieniach i wkrótce zgorzała zupełnie ze zbożem. Dzięki jedynie energicznej obronie udało się dom mieszkalny Wrony i sąsiednie zabudowania od ognia ocalić. Chłopak przerażony strasznemi skutkami swego czynu, umknął z domu i tułał się przeszło tydzień po Krakowie, aż go wreszcie teraz uwięziono. Głupi chłopak, ale jeszcze głupszy ojciec.

Obstrukcya w bóżnicy. Krajowa Rada szkolna zaprowadziła dla żydowskiej młodzieży egzorty, które się odbywają w bóżnicach. Żydowscy uczniowie z niemieckiego gimnazyum we Lwowie uczęszczali na egzorty do synagogi przy ul. Żółkiewskiej, ale ze względu na znaczną odległość dyrekcya gimnazyum zwróciła się do kahału o wyznaczenie innej, bliższej bóżnicy. Kahał wyznaczył bóżnicę przy ulicy Boimów. Pierwszą naukę miał wygłosić nauczyciel religii Hausner w sobotę w południę. Między „chasydami“, czyli fanatycznymi starowiercami, którzy naukę tę uważają za wielkie odstępstwo od prawowierności, powstał wielki krzyk i masy zrobiły w bóżnicy obstrukcyę przy pomocy modlitwy. Podzielili się na dwie partye i gdy jedna poszła na obiad, druga modliła się, i tak zmieniając się, dotrwali do godziny 3 po południu. Uczniowie, których chasydzi tym sposobem do bóżnicy nie wpuścili, nie mieli wcale nauki.

Straszny czyn szaleńca. W gminie Lejpuny w powiecie sejneńskim na Litwie gospodarz tamtejszy Michał Nowicki cierpiał od dłuższego czasu na jakąś chorobę, która mu sprawiała nieznośne bóle w całym ciele. Bóle te były nieraz tak silne, że chory popadał w szał. W przystępie takiego napadu szału, Nowicki wpadł z siekierą do izby mieszkalnej — gdzie było kilkoro jego dzieci i rozpoczął straszliwą rzeź. Najpierw roztrzaskał głowę dziesięcioletniej córeczce, potem pozabijał troje innych dzieci w wieku od 6—14 lat. Oprzytomniawszy, tą samą siekierą chciał sobie rozbić głowę, ale nie mogąc tego uskutecznić — powiesił się w stodole. Może miłosierny Bóg przebaczy okropny czyn nieszczęśliwemu człowiekowi.

Kurek. Jak wiadomo, przed trzema mniej więcej laty, zastrzelił Kurek w Białej policyanta Dietricha i wieśniaka Hojdysa, za co został skazany na śmierć. Został jednak ułaskawiony i odstawiony do Wiśnicza, gdy mu karę zmieniono na dożywotne więzienie. Z Wiśnicza wkrótce jednak uciekł, poczem błąkał się jakiś czas w okolicy Kęt. W Cieńcach popełnił wtedy morderstwo rabunkowe i uciekł do Prus. Niedługo po przebyciu został aresztowany w Mysłowicach pod zarzutem kradzieży z włamaniem. Dnia 20 stycznia stanął przed sądem w Bytomiu, oskarżony o ową kradzież, lecz z powodu braku dowodów kary żadnej nie otrzymał. Obecnie odstawiono go do Krakowa i oddano sądowi.

Wesele w śniegu. Pisaliśmy, że od początku stycznia w innych krajach, także i niemieckich, zima sroższa jest niż u nas, więcej niż co roku mroźna i bardzo śnieżna. Najwięcej śniegu jest w górach i mieszkańcy przez wiele dni nie mogli się ruszyć ze swych wsi.



W pewnej wsi tyrolskiej zapowiedziane było wesele córki bardzo bogatego gospodarza. Do kościoła było daleko, trzeba było jechać przez górę i las. Młodym się spieszyło, jak to bywa i za nic nie chcieli czekać, aż zima zelżeje. Ojcowie też przygotowali wszystko do wesela i nijako im było odkładać dzień, który pleban już wyznaczył. Gdy przyszedł ten dzień, wybrali się więc wszyscy saniami o godzinie 7 rano w drogę i myśleli, że przecie w trzy godziny odbędą drogę, na którą w lecie potrzeba tylko trzy kwadranse. Ale stało się inaczej. Konie nie mogły ciągnąć sani przez wielkie śniegi i co chwila musieli mężczyźni wysiadać, aby rozkopywać drogę z pod śniegu. Zamiast na godzinę 10 rano, przyjechali na godzinę 8 wieczór i wesele dopiero nazajutrz się odbyło.

Obrazek, który tu podajemy, pokazuje, jak wyglądało miejsce najniebezpieczniejsze.

Dzieci zbrodniarze. Trzynastoletni Józef Gruber, uczeń szkoły ludowej pod Lincem, umówił się z braćmi swymi 11-letnim Hermanem i 9-letnim Ludwikiem, że w niedzielę rano dnia 23 stycznia b. r., korzystając z nieobecności właścicielki sklepilku, 78-letniej Maryi Bertl, wpadną do sklepiku w czasie nabożeństwa i ukradną co będą mogli. Postanowili przytem, gdyby ich właścicielka schwytała w czasje kradzieży zamordować ją. W drodze spotkali jednego z kolegów. Aby im nie przeszkadzał, Józef odprowadził go, zaś Herman i Ludwik udali się na kradzież. Gdy rozpoczęli już robotę na dobre, nadeszła staruszka.

Wtedy Herman rzucił się na nią i począł kłuć scyzorykiem. Staruszka, broniąc się rozpaczliwie, zdołała wyrwać mu scyzoryk. Herman pochwycił jednak nóż leżący w sklepie i zadał nim starowinie 28 ran w szyję, piersi i plecy, poczem wszyscy trzej mali zbrodniarze zbiegli. Nieszczęśliwa staruszka walczy ze śmiercią, a napastnicy zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu.

Pluskwy na loteryi. Jan Kaukal, czeladnik, zatrudniony u Alojzego Lewickiego w Wiedniu, ujrzał raz we śnie pluskwy. Sen swój opowiedział swojemu pracodawcy i trzem towarzyszom i po wspólnej naradzie postanowili numera oznaczające pluskwy postawić na loteryi. Wiadomo, że niemądrym ludziom wydaje się, że numery można wyśnić! Przypadek zrządził, widocznie na to, aby ich do reszty ogłupić, że z czterech postawionych numerów wyszło 3, wobec czego wspólnicy wygrali 1043 koron. Z początku wszyscy czuli się bardzo szczęśliwymi, ale wnet przyszło do niezgody, gdyż Kaukal chciał otrzymać większą część, jako ten, który miał taki piękny pluskwi sen. Liczył sobie za sen 60 K. Gdy towarzysze na jego żądanie zgodzić się nie chcieli, poruczył Kaukal podjąć wygraną swemu przyjacielowi Michałowi Szrejowi i tak długo ją zatrzymać, póki tamci na podział się nie zgodzą. Szrej zgodził się na pośrednictwo, ale podjąwszy pieniądze, wyjechał na Węgry i tam je przehulał. Nie mając już nic z owych pieniędzy, wrócił do Wiednia i sam oddał się w ręce sądu. Na zapytanie sędziego dlaczego to uczynił, odpowiedział, że choć raz chciał wesoło żyć. Sędzia jednakże takiego tłómaczenia się nie przyjął i skazał go na 3 miesiące więzienia. Najlepiej nie ruszać, co cudzego.

Śmierć pod gilotyną. We Francyi nie wieszają przestępców, tylko ich ścinają osobną maszyną, wynalezioną przed stu laty przez Dra Gilotyna, i dlatego nazwaną jego imieniem. Przed paru dniami stracono w ten sposób młodego chłopa Hebrarda, który w złości strasznej zabił przyjaciela.

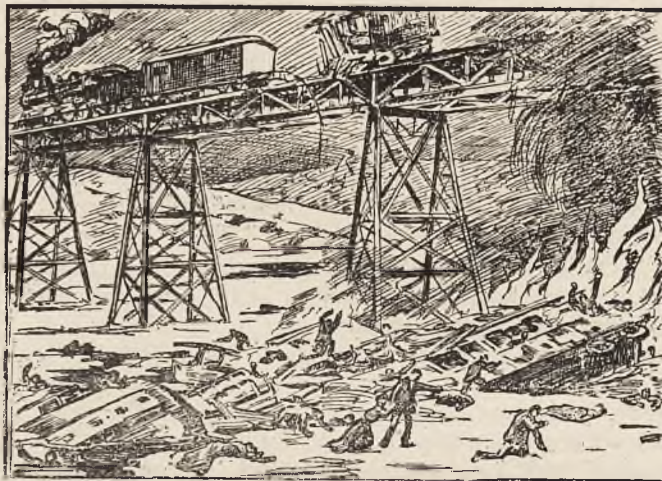


Podany tu obrazek przedstawia, jak się odbywa ten straszny sposób kary śmierci. Skazańca z zawiązazanemi z tyłu rękami, z obwiązanemi oczami, kładą na deskę, którą razem z nim przychylają i umieszczają pod gilotyną. Gdy go położą w ten sposób, że szyja przyjdzie w wycięcie półkoliste, przytrzymują ją drugiem półkolem od góry, tak, że skazaniec nie może się ruszyć. Nad jego szyją wznosi się rodzaj szubienicy, u góry wisi ciężkie, szerokie ostrze stalowe, z ukosa ścięte. Gdy zbrodniarz jest już umieszczony bez ruchu, kat popuszcza sznur z boku, ciężkie ostrze spada na dół wzdłuż fugów szubienicy, a odcięta głowa toczy się do podstawionego kosza. Na obrazku wyrysowany jest kat w wysokim kapeluszu, jego pomocnicy i skazaniec, który nie chciał dać sobie oczów zawiązać, tylko je sam zamknął.

Wybory angielskie odbywają się jeszcze dalej i odznaczają się niepowodzeniem stronnictwa liberalnego i socyalistów. Za kilka dni będą zupełnie ukończone.

Mrozy w Anglii. W całej Angiii i Szkocyi panują tak silne mrozy, jakich od 10 lat nie pamiętają. Wiele osób, zwłaszcza na wybrzeżach poumarzało.

Niezwykły wypadek kolejowy wydarzył się przed tygodniem. Zazwyczaj pociąg się albo wykoleja, albo zderzy z innym, albo się zapali, albo utopi. Tak już nieraz bywało. Ale w stanie Ottawa w Ameryce północnej wszystko to przytrafiło się jednemu pociągowi.



Pociąg pospieszny pędził z wielką szybkością i wjechał na most. Tu wyskoczył z szyn i spadł z mostu do rzeki zamarzniętej, przyczem po przewalały się wagony. Jedne z nich załamały swoim ciężarem lód i wpadły w wodę razem z podróżnymi, joden zaczął się palić i dym zadusił parę ludzi; wielu innych przy upadku na śmierć się potłukło. Ogółem straciło życie czterdzieści kilka osób a kilkadziesiąt się ciężko poraniło. Wszystko to dlatego że maszynista jechał szybciej niż było wolno w tem miejscu. Na kolei więcej niż gdzieindziej, dobro ludzkie i życie zależy od sumienności, dokładności i posłuszeństwa.

Orkany. Ze Szwajcaryi donoszą o ogromnych wichurach, które drzewa z korzeniami wyrywały. Dołączyły się do tego ulewne deszcze i zalały wiele miejscowości.

Rewolucya w Urugwaju. Z Bueno Aires, stolicy Argentyny, w Ameryce południowej, donoszą, że w sąsiedniem państewku, Urugwaju, wybuchła rewolucya. Czy to prawda, trudno na razie zbadać.

Okręt w lodach. W cieśninie Beringa, między Azyą a Ameryką, w okolicach podbiegunowych, rybacki statek angielski zauważył, że na olbrzymiej krze lodowej, miotanej przez fale, znajduje się opustoszały, zniszczony okręt, z połamanemi masztami, okryty lodem.



Kapitan statku angielskiego spuścił łodzie na wodę i z wielkiemi ostrożnościami kazał wylądować na lodowcu, aby zbadać co to za szczątki i czy przypadkiem

nie znajduje się tam ktoś, potrzebujący ratunku? Przekonano się, że są to resztki okrętu „Inwestigator" na którym przed laty pięćdziesięciu odbywała się wyprawa podbiegunowa kapitana Klura. Okręt dostał się wtedy pomiędzy lody, które ścisnęły go tak silnie, że komendant wyprawy musiał go opuścić i z całą załogą saniami po lodach dążyć do lądu stałego. Porzucony okręt zamarzł i pływał razem z krą przez całe pół wieku. Żeglarze nie mogą wyjść ze zdumienia, że wytrzymał tak długo i wychwalają mocną budowę. Widocznie nie tylko u nas ludzie dawniej wszystko lepiej i trwalej wyrabiali.

Zasypani przemytnicy. W Alpach włoskich szło wąwozem 7 szwarcowników, niosąc na plecach zakazany towar. Wtedy wielka bryła śniegu stoczyła się z góry i zasypała ich.

Najbogatsi żydzi. Jeden z dzienników niemieckich przypomina, że w r. 1901 obliczono majątek rodziny wiedeńskich Rotszyldów na jedenaście miliardów koron, czyli jedenaście tysięcy milionów. Jeżeli przypuścimy, że ten kapitał przynosi tylko cztery procent rocznego dochodu, okaże się, że roczny dochód Rotszyldów wiedeńskich wynosi czterysta czterdzieści milionów koron. Jeżeli całoroczny dochód Rotszyldowski podzielimy na 365 dni, przekonamy się, że rodzina Rotszyldów wiedeńskich posiada dochodu dziennego więcej niż milion dwieście tysięcy koron, że przeto każda godzina przynosi około pięćdziesiąt tysięcy koron, minuta około 833, a każda sekunda około czternastu koron dochodu. — Podobnie bogaci są Rotszyldowie paryscy i londyńscy.

Walka o posiadłości Adama i Ewy. Pismo św. nie podaje, gdzie znajdował się Raj, z którego pierwsi ludzie zostali wygnani z rozkazu Boga przez Anioła z mieczem ognistym. Tradycya opowiada od lat paru tysięcy, że raj mieścił się w Azyi, w kraju dziś Mezopotamią, objętym dwoma rzekami, Eufratem i Tygrem, należącym dziś do Turcyi. Kraj to cudownie przez Boga obdarzony: posiada najurodzajniejszą, jaka może być, ziemię; klimat przez cały rok ciepły, bez zimy, a bez zbytniego gorąca. Brak mu tylko ludzi prawie zupełnie, a mnóstwo wielkich i mniejszych rzek, wskutek zaniedbań przez setki lat, pozalewało grunta i przemieniło tysiące kilometrów kwadratowych w moczary i bagna. Kraj jest ogromny, kilka razy większy niż Austrya. Pożałowali tego marnowania cudzej ziemi Anglicy i postanowili uratować ją dla ludzkości, a zdobyć dla siebie. Włożywszy wiele milionów, chcą stworzyć sobie takie państwo kolonialne, jakie już mają w Indyach i Egipcie. Za ich staraniem parlament turecki pozwolił już na urządzenie ruchu okrętów po wielkich rzekach i na odprowadzenie wody z trzęsawisk przez kopanie ogromnych, na mile ciągnących się kanałów. Wtedy podniosły głowę zazdrosne Niemcy, które zaraz zrozumiały, jakie korzyści niezmierne będą mieć Anglicy z tego kraju, gdy go urządzą. Zaczęły więc buntować po cichu rząd turecki, aby robił trudności Anglikom. Do Niemiec przyłączyła się Ameryka, w obawie, że po uprawieniu takich ogromnych urodzajnych przestrzeni, mogą tam Anglicy zacząć hodować bawełnę, co zaszkodzi uprawie bawełny amerykańskiej. Ale zdaje się, że Anglia swego dopnie, bo ma polityków mądrych, nie bojących się nikogo a postępujących rozważnie. Silny i mądry a uczciwy, zawsze zwycięża.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pp.: Józef Jeżowski w S.: *Rolę* wysyłamy według życzenia. Kalendarz wyślemy, gdy otrzymamy całoroczną prenumeratę 4 kor. i 30 hal. na przesyłkę „Kalendarza", ale i to tylko w takim razie, gdy Pan wyśle zaraz pieniądze.— Adela Bezokówna w K.: Rozwiązanie z nru 2 otrzymaliśmy, ale zapóźno. Prosimy bardzo uważać na termin, bo gdy przychodzi spóźnione, to już nie bywa brane do losowania. — Jan Dajda w W.: Wysłaliśmy ponownie, gdyż poprzednie numera musiały gdzieś zginąć. — Władysław Szybowski: Za życzenia serdecznie dziękujemy. — Grzegorz Gardzilewicz w O.: Dziwi nas bardzo, ze *Rola* nie dochodzi, gdyż my wysyłamy ją najregularniej. Również i „Kalendarz" wysłaliśmy. Prosimy upomnieć się na poczcie, a my z swej strony zrobimy wszystko, aby wyśledzić bezpłatnego odbiorcę. — Piotr Pawlik w P.: Zastosowaliśmy się do życzenia. — Jan Cieśla z B.: Dziękujemy za przyrzeczenie. — Karol Baran z P.: Za wiadomości dziękujemy. — Jan Doliński w W.: Prosimy o nadesłanie prenumeraty. *Rolę* wysłaliśmy. — Leon Łętowski z S.: Kalendarz wysłaliśmy z Nrem 5. Prosimy upomnieć się na poczcie. Dziękujemy za jednanie prenumeratorów. — Stanisław Górz z S.: Reklamowany numer wysłaliśmy. — Józef Trembecki w P.: Żądany adres brzmi ulica Krzyża Nr. 3.

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali: Józef Wiśniowski z W., Antoni Gątarz z B., Michał Pasionek z Z., Melchior Klimek z S., Stanisław Cichoń z N., Antoni Urbańczyk z M., Adam Kozdęba z D., Michał Sołtys z S., Michał Wołkowicz z B., Jan Farun z M., Roman Wanatowicz K., Antoni Małecki z L., Wojciech Korzeń z R., Czytelnia uczennic seminaryum S. Münnichowej w Krakowie, Wojciech Młoda z R. (2 K), Maryanna Włodarczyk z P., Kazimierz Szymański z P., Franciszek Kluz z K., Adam hr. Gołuchowski z L.: (20 K), Franciszek Wróbel z B., Józef Słopiak z K., Fr. Zgodziak z K.: (2 K), Michał Józef z N.: (2 K), Zwierzchność gminy Swoszowice, Karol Baran z P., Józef Witek z S., Tomasz Nicpoń z B., Józef Wszołek z S., Kółko rolnicze z Alfredówki, Anna Kruszewska z Ch., Józef Połtoranos z S.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 1 lutego:

Buhaje	Kor.	65	do	160	za sztukę
Woły z paszy	„	140	„	325	„
Krowy	„	72	„	230	„
Jałówki	„	70	„	120	„
Cielęta	„	20	„	72	„
Swinie	„	148	„	158	za 100 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 1 lutego:

Pszenica	Kor.	13·60	do	14·—	za 50 kg.
Żyto	„	9·70	„	10·—	„
Jęczmień	„	7·70	„	7·90	„
Owies	„	8·10	„	8·20	„

ZŁOTE MYŚLI.

O! jakże smutne życie człowieka!
Skąpe dni gronko w goryczy mu płynie,
Jako kwiat zejdzie i zginie,
Jako cień leci i znika!

Kazimierz Brodziński.

Czem jest wino w naczyniu,
Tem losy w narodzie.
Z wierzchu szum, w środku czystość,
A drożdże na spodzie.

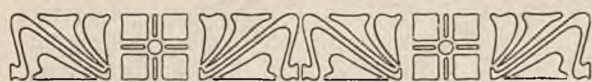
Franciszek Morawski

Dobra niwa,
Jak poczciwa
Pierś rolnika, co ją orze:
Tylko trzeba,
By im z nieba
Przyświecało światło Boże.

Marya Ilnicka.

Któż obywatel? Ten, co swymi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije,
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!"

Franciszek Kniaźnin.



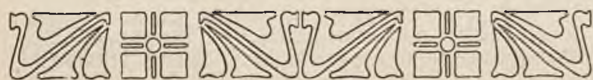
Spółka rolniczo-przemysłowa

w Podgórzu

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką

udziela pożyczek;
porządkuje interesy majątkowe;
podejmuje się przeprowadzenia parcelacyj na obcy rachunek;
przyjmuje wkładki na rachunek bieżący;
finansuje interesy rolniczo-przemysłowe.

Biuro: Podgórze, Rynek Nr. 4.



Robotnicy i robotnice,

którzy postanowili na rok przyszły udać się do robót polnych do którego z krajów zagranicznych, powinni, jeśli dbają o swoje dobro, unikać pośrednictwa wszelkich pokątnych faktorów i agentów i zgłaszać się o kontrakty zawczasu (najlepiej listownie) do

Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

w Krakowie, ul. Kolejowa L. 3.

Towarzystwo to, założone dla dobra robotników, zmuszonych szukać pracy na obczyźnie, utrzymuje własne biuro pośrednictwa pracy, które nietylko stara się wyszukiwać im pracę w kraju i zagranicą na jak najkorzystniejszych warunkach, lecz nadto gorliwie opiekuje się robotnikami podczas pobytu ich na obczyźnie, broni ich od krzywd, załatwia ich sprawy w kraju, wysyła im książki i gazety, stara się nawet o pomoc religijną. — Polskie Towarzystwo Emigracyjne zawiązane zostało nie w celach polityki, spekulacyi lub zysku, lecz jedynie po to tylko, aby ten lud nasz, co każdego roku dąży na obczyznę na zarobki, chronić od błędnych kroków, od przykrej tułaczki i poniewierki, by go bronić od wyzysku i oszustw ze strony rozmaitych pijawek swojskich i obcych, by mu dać opiekę podczas pobytu wśród cudzoziemców. — P. T. E. nietylko stara się o kontrakty zagraniczne na dogodnych warunkach, nietylko dba o to, by ci rodacy nasi, którzy jadą na zarobki zagranicę, wracać stamtąd mogli z jak największemi oszczędnościami, lecz nadto daje każdemu przebywającemu na obczyźnie pewność, że za nim w kraju stoi swojska wpływowa instytucya, do której w potrzebie może zawsze zwrócić się o przyjacielską pomoc i poradę. Niech zapamiętają to sobie dobrze ci robotnicy i robotnice, którzy postanowili szukać na rok przyszły pracy na obczyźnie.

Niech każdy, nie zwlekając do ostatniej chwili, już zaraz teraz pisze do Towarzystwa, podając swój adres, wiek i wymagania.

— Oskarżony, byłeś już kiedy karany?

— Co nie miałem być, prześwietny sądzie, koń ma cztery nogi, a potknie się, a co dopiero człowiek.

— Babciu, a kiedy babcia będzie znów chorować?

— A dlaczego?

— Bo mi potrzebne pudełko od pigułek.

Matka do syna, którego wzięto do wojska:

— Słuchaj synu, gdyby wybuchła wojna, pamiętaj nie mieszaj się do niej!

Bank Ziemski w Łańcucie

1) Nabywa majątki ziemskie i gospodarstwa włościańskie celem odsprzedawania ich członkom Stowarzyszenia w całości lub częściami.

2) Tworzy gospodarstwa włościańskie średnich rozmiarów w pojęciu ustawy z dnia 17-go lutego 1905 Dz. u. i rozp. kr. Nr. 40 o tworzeniu włości rentowych.

3) Ułatwia członkom swoim parcelacyę i sprzedaż majątków ziemskich.

4) Reguluje majątkowe stosunki członków i dostarcza kredytu na kupno gruntów.

Przyjmuje wkładki na rachunek bieżący począwszy od 100 koron wyżej i opłaca od złożonych pieniędzy **5 procent** z półrocznem oprocentowaniem.

Z rachunku bieżącego Bank wypłaca:

Bez wypowiedzenia do kwoty . . .	500 K
za 8-dniowem wypowiedzeniem do	1.000 „
„ 14 „ „ „	3.000 „
„ 30 „ „ „	5.000 „
„ 60 „ „ „	10.000 „ i wyżej.

Od kwot ponad 1000 koron za 3-miesięcznem wypowiedzeniem opłaca Bank po $5^1/_2{}^0/_0$ od sta, za 6-miesięcznem wypowiedzeniem opłaca Bank po $6^0/_0$ od sta.

Na złożoną gotówkę w rachunku bieżącym wydaje Bank książeczki wkładkowe.

Podatek rentowy od złożonych pieniędzy opłaca Bank z własnych funduszów.

Dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej zamiejscowym dostarcza Bank czeki poczt. Kasy oszczędn.

Bank urzęduje codziennie od godziny 9 do 12 przed i od 4 do 7 po południu, z wyjątkiem niedziel i świąt rzym.-katol.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.